Cena 8 zł

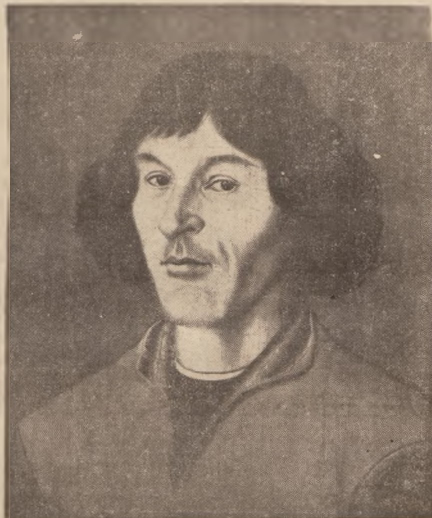


ŚWIETLICA KRAKOWSKA

dwutygodnik

Egzemplarz bezpłatny C

Nr 20 | Kraków, 16 października 1946 r. | Rok II



JÓZEF SZUJSKI

KOPERNIK

(fragment z dramatu).

Słuchaj! Gwieździsta była noc, świetlana,
na frauenburskiej klęczałem wieżycy
szukając wielkiej niebios tajemnicy.
I ku ramionom wzniesionym w zachwycie
spłynęła ku mnie tajemnica Pana,
spłynęło ku mnie wielkie świata życie!
To, co się w cyfrach i piśmie łamało,
jedna mi chwila podała natchnienia,
natchnienie szatę pewności przybrało,
w dowód urosły moje przypuszczenia.
Z ziemią, co niosła myśl moją skrzydlatą
czułem ruch w przestrzeń, ku słońcu, ku światłom
krążącym wedle praw, znanych jedynie
mnie na tej wieży, Bogu na wyżynie!

— — — — — —

Nowegoś Boga znalazł w gwiazd bezliku,
bądź dumnym, wielkim jesteś, Koperniku!
Jak łódź do brzegu łańcuchem skowaną
w ocean niebios pchnąłeś glob zielony,
że czym był wieczór, nie będzie już rano!
z tysiącletniej drzemki przebudzony!
Tyś wielki, dumnyś ty, coś go z odmętu
wyrwał, idź naprzód! ty weź ster okrętu!

Wyrok norymberski

Sześć lat najstraszliwszej w dziejach świata wojny znalazło swoje zakończenie w norymberskim wyroku, wyroku jakiego nikt z nas nie oczekiwał. Dla nas, szarych ludzi wina Niemiec i wina niemieckich przywódców w wywołaniu wojny była jasna i oczywista od dnia wybuchu wojny, a świadomość ta pogłębiała się z każdym dniem okupacji. Od dnia kiedy niemieckie bomby rzucane przez niemieckich lotników, wychowanków Hitlera i Baldura von Schiracha padły nie tylko na nasze twierdze, ale i na nasze miasta i wsie, nie tylko na Modlin i Westerplatte, ale na Warszawę i dziesiątki najrozmaitszych Wól i Wólek, od dnia kiedy niemieccy lotnicy strzelali z karabinów maszynowych nie tylko do wojska ale i do uciekającej ludności cywilnej, a nawet do staruszek, pasących krowy — rozumieliśmy, że Niemcy walczą nie tylko z Polską, ale depczą poczucie ludzkości. Świadomość ta pogłębiała się z każdym dniem, kiedy widzieliśmy łapanki, kiedy budził nas po nocy warkot gestapowskich samochodów i głuchy łomot żołdackich kroków, kiedy nasi najbliżsi marli w Oświęcimiu, Majdanku i tylu innych obozach, kiedy przez ziemie nasze pędzono mrących z głodu jeńców radzieckich do niemieckich fabryk zbrojeniowych, kiedy na ulicach wieszano i rozstrzeliwano za to, że się walczyło o niepodległość, a często za to tylko, że się urodziło Polakiem lub Żydem.

Ta świadomość była wspólnym udziałem narodu polskiego i wszystkich narodów okupowanych. Ta świadomość jednak nie stała się udziałem Anglosasów, których bohaterstwo naszych lotników uratowało od okupacji. Wierzyliśmy, że zbrodnie niemieckie nie ujdą karze. Żadna wprawdzie kara nie wyrównałaby krzywdy, jaką nam wyrządzono, nie przywróciła by życia pomordowanym ani nie odbudowała zniszczonych krajów. Kara jednak powinna być zadość uczynieniem za podeptane poczucie ludzkości.

Zdawało się nam szarym ludziom, że postępowanie zwycięzców, będzie jasne, krótkie i zdecydowane: przywódcy na szubienice, masy żołdactwa niemieckiego, SS-manów, gestapowców, wszystkich hitlerowców — do żmudnej pracy przy odbudowie zniszczonych krajów.

Stało się przecież inaczej. Uczeni, prawnicy, moraliści przekonywali nas — i przekonali — że nie wolno postępować w sposób, przypominający choćby z daleka postępowanie zbrodniarzy, przekonali nas, że dla udowodnienia oczywistej winy trzeba zorganizować wielką maszynę sądowniczą, trzeba powołać do życia złożony z najtęższych prawników trybunał międzynarodowy, trzeba dogłębnie zanalizować postępowanie zbrodniarzy i jego pobudki trzeba całemu światu, a narodowi niemieckiemu przede wszystkim udowodnić zbrodnie niemieckie. Nie wszyscy przecież byli w Oświęcimiu, nie wszyscy własnymi oczyma patrzyli na likwidację warszawskiego ghetta...

Postępowanie w Norymberdze ciągnęło się długo, 405 razy zebrał się trybunał. W tym okresie, w okresie pobrzękiwania bombą atomową, w okresie mów Churchilla i Byrnesa zainteresowanie świata procesem osłabło, a wśród Niemców nie było go nigdy: władze okupacyjne zmuszają dzienniki niemieckie do ogłoszenia wyroku.

Oskarżenie w Norymberdze obejmowało z jednej strony poszczególne organizacje niemieckie, z drugiej zaś strony 22 największych zbrodniarzy jakich wydała ludzkość. W skład Trybunału Międzynarodowego weszli przedstawiciele Związku Radzieckiego, USA, Anglii i Francji, Polsce przyznano aż trzy miejsca na sali...

Postępowanie przeprowadzono dokładnie, dokładnie zanalizowano przyczyny wojny i winę poszczególnych oskarżonych. Udowodniono, że naród niemiecki, niemiecki rząd i partia hitlerowska świadomie i celowo dążyły do wywołania wojny, do podboju Europy, a w porozumieniu z Japonią, w następnym może etapie, do — podboju świata. Udowodniono, że poszczególni oskarżeni wiedzieli, musieli wiedzieć o wszystkich popełnianych zbrodniach, że za wszystkie zbrodnie ponoszą pełną odpowiedzialność.

Oskarżeni nie stanęli na wysokości zadania, umieli być wielkimi tylko w zbrodni, w obliczu sądu, w obliczu kary zmaleli. Nie potrafili ani po męsku przyznać się do zarzucanych im zbrodni, ani nawet bronić słuszności swojego postępowania. Sami czynili z siebie bezwolne narzędzia w rękach Hitlera i Himmlera, na nich po tchórzowsku usiłowali zwalić całą odpowiedzialność.

Ale i Trybunał Międzynarodowy nie stanął na wysokości zadania. I Trybunał Międzynarodowy nie spełnił pokładanych w nim przez nas nadziei.

Rządu niemieckiego nie uznano za organizację przestępczą. Któż więc prowadził politykę Niemiec, kto prowadził wojska niemieckie, do Zagłębia Saary, do Austrii, do Czechosłowacji, do Klajpedy i Polski? Kto organizował niemieckie obozy, kto zamykał tam podbitych, kto organizował nowoczesne niewolnictwo? Jakże można winić naród niemiecki, jeśli zespół najbardziej zdegenerowanych jego przedstawicieli, jeśli rząd niemiecki uwalnia się od winy? Ta część wyroku buduje dopiero podstawę dla Byrnesa i innych rzeczników niemieckiego odrodzenia. Przeciwko tej części wyroku musimy, Polacy i wszyscy Słowianie, stanowczo zaprotestować. Tego wyroku my nie uznajemy. Rząd niemiecki w pierwszym rzędzie winien jest wojny.

Nie uznano również winnym niemieckiego sztabu generalnego. Któż więc planował kampanie, kto dawał rozkaz bombardowania otwartych miast, kto rozkazywał zniszczyć Warszawę, kto nakazywał rozstrzeliwać jeńców wojennych? I tej części wyroku nie uznajemy i zakładamy swój protest. Niemieckie dowództwo jest winne nie tylko wojny, ale przemia- [illegible]

Poszczególnym zbrodniarzom wymierzono kary więzienia. Wbrew oczywistej winie, winie, której jedynym odpowiednikiem byłaby kara śmierci, uratowano od szubienicy Hessa wspólnika Hitlera, współtwórcę narodowego socjalizmu: Funka, Speera kierownika niemieckiego przemysłu zbrojeniowego, odpowiedzialnego za V^1 i V^2; Doenitza i Raedera odpowiedzialnych za wojnę



Uwolnieni więźniowie snują marzenia o nowym porządku w Europie

morską i zbójecką działalność niemieckich łodzi podwodnych; Schiracha, wychowawcę młodzieży niemieckiej, Neuratha, kata Czech.

Trybunał Międzynarodowy znalazł nawet niewinnych między zbrodniarzami. Niewinny zdaniem prawników anglosaskich jest Fritsche, kierownik radia niemieckiego. Fritsche przecież jest odpowiedzialny za to, że niemiecka propaganda mogła swobodnie posługiwać się radiem dla budzenia w Niemczech najniższych, najbardziej zbrodniczych instynktów, żądzy mordu bezbronnych i panowania nad światem.

Zdaniem prawników angielskich niewinny jest von Papen, który ułatwił Hitlerowi dojście do władzy, który nakłonił ogłupiałego Hindenburga do mianowania Hitlera kanclerzem Rzeszy.

Niewinny wreszcie ma być Schacht, kierownik niemieckiej gospodarki, który stworzył finansowe, gospodarcze warunki dla rozwoju hitleryzmu, który swoją wiedzę i niezaprzeczalne zdolności bez zastrzeżeń oddał w służbę hitleryzmu.

Trybunał Międzynarodowy zawiódł nasze oczekiwania. Temida norymberska nie była ślepa i umiała uratować od szubienicy sługusów międzynarodowego kapitalizmu, sługusów międzynarodowej finansjery.

Z dumą można przecież stwierdzić i podkreślić: Trybunał Międzynarodowy nie był w swoim orzeczeniu jednomyślny, przedstawiciele Związku Radzieckiego zaprotestowali przeciwko wyrokowi. I w Norymberdze zaznaczyła się wyraźna różnica pomiędzy światem anglosaskim z jednej strony a światem słowiańskim z drugiej. Różnica ta polega na tym, że w świecie słowiańskim władzę sprawuje klasa pracująca, ludzie nieomylnie orzekający o złym i dobrym, o winie i karze, w świecie anglosaskim natomiast masy pracujące nie doszły jeszcze do głosu, w ich imieniu nadal przemawiają kapitaliści, bankierzy, przemysłowcy i obszarnicy, a ci umieją dyktować swoją wolę nawet sędziom, umieją ratować od odpowiedzialności i szubienicy niemieckich arystokratów, bankierów i przemysłowców.

Wierzymy, że masy pracujące Anglii i Ameryki jednoczą się z nami, narodami słowiańskimi w stanowczym zdecydowanym proteście przeciwko wyrokowi w Norymberdze, tak jak łączą się z nami w proteście przeciwko podżegaczom do wojny, w proteście przeciwko próbom uniewinnienia i odbudowania Niemiec. Ta współpraca, ta jednomyślność mas pracujących całego świata jest rękojmią naszego zwycięskiego pochodu ku nowemu, szczęśliwszemu jutru, pochodu, którego nie zatrzyma i to, że dziewięciu zbrodniarzy uciekło spod szubienicy.

Mgr H. Ligęza

Nieporozumienie i przesada

W „Ilustrowanym Kurierze Polskim" ukazał się niedawno artykuł pt. „Na własnej drodze", w którym czytamy m. in.:

„W Polsce się pisze i mówi o katolicyzmie radykalnym, lewicy katolickiej itp. Autorów tych pomysłów ogarnął jakiś szał licytowania wszystkich partyj w radykaliźmie społecznym. Oczywiście, że nic z tego nie wychodzi i wyjść nie może, gdyż koncepcje te wyrosły na innej glebie i z innych potrzeb i u nas są zwykłym, z niczym niepowiązanym, naśladownictwem importowane do nas stają się jękliwym i miłosiernym katolicyzmem dla ubogich i maluczkich".

Ponieważ na łamach naszego czasopisma zajmowaliśmy się już sprawą radykalnych katolików i katolicyzmu radykalnego — w przeciwieństwie do tradycyjnego, musimy zająć się i wspomnianym wyżej odgłosem, by uchylić pewne nieporozumienia.

*

Nigdzie dotąd nie zauważyliśmy objawu „szału licytowania" w radykaliźmie społecznym — ze strony t. zw. katolików radykalnych.

Na łamach tygodnika „Dziś i jutro" nieraz czytaliśmy o konieczności radykalizacji nastawienia katolików w dziedzinie społecznej, ale nie zauważyliśmy nigdy, by autorów ponosił szał licytowania na tym odcinku. A już szczytem przesady jest twierdzenie autora z „I. K. P.", jakoby propagatorowie radykalnego katolicyzmu licytowali **wszystkie** (sic!) partie w radykaliźmie społecznym.

Przesadnym jest również pesymizm autora z „I. K. P.", który w odruchach radykalnych wśród katolików w Polsce nie widzi nic innego tylko: „zwykłe, z niczym nie powiązane naśladownictwo".

Są — oczywiście — analogie, zwłaszcza z tym, co obserwujemy we Francji, ale to nie jest: „zwykłe naśladownictwo".

Przeciw pędowi naśladownictwa, „z niczym niepowiązanego", przestrzega m. in. nawet taki entuzjasta postępowego katolicyzmu francuskiego i francuskiego „Ruchu republikańsko-ludowego", jakim jest niewątpliwie autor bardzo znamiennej i szeroko komentowanej w kraju i zagranicą broszury p. t. „Katolicy radykalni" (Warszawa 1946, nakład Państwowego Instytutu Wydawniczego), ksiądz Henryk Weryński.

Wydaje się nam, że autor z „I. K. P." nie miał czasu na przestudiowanie tego wszystkiego, co u nas dotąd napisano na temat radykalnego katolicyzmu, ale — przecież — nie ma dotąd tego wiele.

Gdyby zadał sobie trochę trudu i przeczytał wszystko, byłby niewątpliwie zmodyfikował swój sąd.

*

Poważnym nieporozumieniem musimy nazwać to, co wspomniany autor pisze o „**jękliwym i miłosiernym katolicyzmie dla ubogich i maluczkich**", który rzekomo **importujemy** do Polski z zewnątrz jako — katolicyzm radykalny

Ilekroć ukazywały się nawoływania do katolicyzmu radykalnego, tyle razy były to nawoływania do **katolicyzmu czynu**, wyrastającego na podłożu radykalnych reform społecznych.

Jest faktem znamiennym, że broszura p. t. „Katolicy radykalni" (j. w.) jest dedykowana pamięci twórcy wzorowej wsi, ś. p. księdzu Wacławowi Blizińskiemu, jednemu z czołowych przedstawicieli katolicyzmu czynu.

W dalszym ciągu cytowanego powyżej artykułu **przeciwstawia** autor katolicyzmowi radykalnemu — katolicyzm twórczy. Niesłusznie i niewłaściwie.

Nieporozumienie zasadnicze **tkwi tu w tym, że nie są to pojęcia przeciwstawne, lecz pochodne.**

Katolicyzm radykalny wywodzi się genetycznie z katolicyzmu twórczego, jest — całkiem wyraźnie i zdecydowanie — jego funkcją pochodną. Każdy to musi przyznać.

*

A więc: z jednej strony — przesada, z drugiej — nieporozumienie.

Bardzo skrupulatnie notujemy wszystkie echa z odcinka propagandy katolicyzmu radykalnego (czy — jak chce „Dziś i jutro" — katolicyzmu radykalno-społecznego) i nie widzimy nigdzie ani podstaw, ani usprawiedliwienia dla takiej oceny, jaką wyczytaliśmy na łamach „Ilustrowanego Kuriera Polskiego".

Jesteśmy zdumieni i zaskoczeni tą oceną, osobliwą pod każdym względem.

Utwierdzamy się zdecydowanie w tym przekonaniu, że ocena ta jest wynikiem: nieporozumienia i przesady.

H. P.

Redakcja „Świetlicy Krakowskiej" prosi o nadsyłanie dokładnych wiadomości z życia świetlic. Prosimy o sprawozdania z uroczystości świetlicowych, z wieczorów teatralnych, dyskusyj naukowych, turniejów sportowych itd. Sprawozdania te będziemy zamieszczać na łamach naszego pisma, a honoraria autorskie przesyłać pod wskazany adres.

Interesuje nas zdanie kierowników kulturalnych świetlic o inscenizacjach i obrazkach scenicznych drukowanych w „Świetlicy Krakowskiej". W wypadku wystawienia którejś z tych sztuczek w świetlicy województwa krakowskiego prosimy o wcześniejsze zawiadomienie redakcji, by można było wysłać delegata na przedstawienie.

DZIAŁ LITERACKI

WITOLD ZECHENTER

Gród Kopernika

Najchętniej zawsze wraca się do wspomnień młodości. Do miast i okolic, gdzie przeżyło się niepowrotne lata pierwszych uniesień, optymistycznego poglądu na świat, świadomości energii życiowej, która wydawała się wtedy nieprzebrana — tego wszystkiego, co niesie z sobą młodość.

Tak się złożyło, że blisko dwa lata z tego szczęśliwego okresu życia spędziłem w Toruniu. Nie przyznam się, kiedy to było bo samemu aż



Toruń — spichrze

dziwne mi się wydaje, że to było tak dawno, tak zamierzchle dawno.

Toruń wydawał mi się wtedy miastem wprost uroczym. Ale może tylko dlatego, że wszystko, co się widzi i przeżywa w młodości wydaje się — po upływie lat — uroczym? Nie. Wracałem potem w ciągu różnych okresów życia kilkakrotnie do Torunia i zawsze robił na mnie wrażenie takie same — miasta prawdziwie pięknie toczącego życie współczesne w ramach niespotykanej prawie w innych starych miastach piękności przeszłości.

Jest bowiem Toruń naprawdę miastem zaczarowanego piękna tej wielkiej przeszłości historycznej Polski, która tam, na Pomorzu, toczyła się zawsze wielką falą wydarzeń. Dzielnica ta przechodziła od najdawniejszych czasów nieustanne wstrząsy, zawsze manifestując swoje przywiązanie do Korony. Krzyżackie rabunki i gwałty dawnych wieków powtarzały się potem w pruskich akcjach zaboru, by w naszych już oczach przejść ostatecznie nad Toruniem hitlerowską okupacją. Wszystkie wojny, pokoje i wydarzenia historii pozostawiały ślad w życiu miasta, w jego zabytkach, tablicach pamiątkowych, w jego architekturze — to też chodzi się po tym mieście jak po żywym muzeum. Jedynie tylko Kraków można porównać do nastroju Torunia.

Leży to stare miasto pomorskie nad szeroką Wisłą, toczącą się spiesznie do Bałtyku, ponad którą przerzucono most o kilometrowej długości. Nad tą najpiękniejszą rzeką polską, mającą pod Toruniem pełny wygląd naprawdę królowej rzek polskich, leży panorama starego miasta, z murami obronnymi średniowiecza, z basztami, wieżycami kościołów. Jak dobrze że okrutna wojna ostatnia oszczędziła Toruń. Zniszczenia były bardzo nieznaczne i nie zniszczało nic, co ma trwałą wartość historii.

Przejdźmy się po mieście, dumnym także z tego, że w nim właśnie urodził się „ten, co zatrzymał słońce", genialny Polak, Mikołaj Kopernik. Zacznijmy od trzech zabytkowych, wspaniałych kościołów, św. Jana, św. Jakuba i Mariackiego.

„Kamienną kroniką średniowiecza" nazwał kościół św. Jana Stanisław Przybyszewski. Narodzinami swymi sprzęga się ta świątynia z połową trzynastego stulecia. Ogromny złom kamienny ze ściętą jakoby wieżą, osiadłą w wysokości podwyższanych z czasem naw. Czyni wrażenie potężnego olbrzyma, zadumanego lub modlącego się. Drżą koło niego drzewa — teraz, jesienią, już złote. Od bliskiej Wisły płyną nawoływania flisaków i ryki syren okrętowych, których ruch tu na Wiśle jest znaczny. U stóp jego tętni życiem ulica wychodząca na ruchliwy Rynek Stary. Po szkarpach czerwieni się latorośl winna. Wszystkie minione lata promieniują z tej świątyni i wydaje się, że zaczęło znowu bić serce Jana Olbrachta w epitafium, że porusza się na portrecie Pirnezjusza Mikołaj Kopernik, że ożyły wszystkie postacie na nagrobkach z trzynastego, czternastego, piętnastego wieku.

Potężna ta świątynia najpiękniej wygląda w nocy, gdy prosto i surowo wcina się w czerń nieba pełnego gwiazd. Gdy tak patrzyłem na mrok tej budowli, wtedy, w młodym mym sercu budziły się przebrzmiałe dziś już dawne nastroje:

Tam, kędy płynie pieśń gwiazd
lazurowa,
wznosisz się, kędy głos ludzki
usycha,
z mroków ulicy, co cieniem oddycha
i cieniem żyje i w cieniu się chowa.

I pijesz boskość z gwiezdnego
kielicha,
więc cię otacza mgła seledynowa,
więc w tej koronie gwiazd jakby
królowa
stoisz, świątynio potężna a cicha.

Lecz gdy ty w bożym kąpiesz się
błękicie,
u stóp twych marny byt i nędzne
życie
u stóp twych ludzi serca bólem płoną.

Więc koronując się gwiezdnymi
blaski,
dla udręczonych dusz ślesz stygmat
łaski,
ukojeń złudnych tulisz je zasłoną.

Inaczej przemawia druga wspaniała świątynia toruńska, kościół Panny Marii, powstały w połowie czternastego wieku.

Wznosi się w boku Rynku Staromiejskiego, pełnego pamiątkowych, ciekawych architektonicznie kamienic, wzdłuż uliczki, która biegnie od Rynku. Prosta budowla, bez wieży, tylko z trzema jakby minarecikami z przodu. Od ulicy przegrodzona dość wysokim murem, chowa w załomach swych ścian wyniosłych wieczny, przejmujący do głębi chłód. Od kościoła św. Jana bije ciepło słońca i oddech wiślanych fal, od tego kościoła tchnie chłód, potężna surowość dumy.

Trzeci wspaniały kościół — to świętego Jakuba w głębi bocznej Rynku Nowomiejskiego. Jest to gotycki hymn udręczonej ziemi ku niebu. Wyrywa się ta wspaniała budowla lotem dwu bratnich, zrośniętych z sobą wieżyc, zaklęta w dostojeństwie, ale zarazem lekka, lotna, smukła. Ten kościół z czternastego wieku należy do najwspanialszych zabytków gotyckich Pomorza.



Toruń — Krzywa Wieża

Ballady wieków skrywa cię szata,
lat przeszłych pną się po tobie
powoje —
dumnego trwania wziąwszy na się
zbroję

zmierzasz, gdzie prószy gwiaździsta
[illegible]

Gotyckich skrzydeł oczuwszy zawoje
dusza po twojej strzelistości wzlata,
by tam spoglądać, kędy ty znad
[illegible]
spoglądasz, skronie wydźwignąwszy
swoje.

Twe bratnie wieże, pomniki
przeszłości,
dziwną legendę prawią z wysokości —
bo wyniesione nad ziemską marnotę,

niebiańskich blanków dostąpiwszy
szczytu,
mogą w krainie słońca i błękitu
tonąć, gdzie gwiazdy królują im
złote.

A teraz wróćmy na Rynek Staromiejski. Podobnie jak Rynek krakowski — jest on kawałkiem snu. Wokrąg stoją kamienice różnych lat i epok, stare, patrycjuszowskie, mieszczańskie kamienice zamożnego ongiś grodu, przez który szedł cały handel z Polski i Bałkanów do Gdańska o czym mówią po dziś jeszcze potężne spichlerze i magazyny zbożowe Na wielu kamienicach, nieraz wąziutkich, o jednym lub dwu oknach frontu, za to strzelistych ku górze, widnieją rzeźby i stare napisy. Pośrodku zaś wznosi się Ratusz

Wieża, budowana w połowie trzynastego wieku, jest prawdziwą „epopeją głazu". Może najwidoczniej z całego Torunia w tej wieży, w tym ratuszu zaklęta jest przeszłość Wieki temu sterczała nad miastem jako symbol jego praworządności polskiej. Z tej wieży rozlegały się średniowieczne hejnały, z tej wieży dawano wieść ostrzegawczą, że pod miasto nadchodzą zastępy krzyżackie

W wspaniałym podwórcu Ratusza, w obramieniu starożytności, stoi posążek flisaka, grającego na skrzypkach, a wokół niego żaby kamienne leją do basenu wodę z otwartych w zasłuchaniu gęb: Piękny jest pomniczek ten, jakże pełen wyrazu. W ciszy starego dziedzińca jakże czaruje niedosłyszalna melodia flisaka

Grasz dziwną piosnkę... W to sierp-
[illegible]

co prószy słońca jaśnią uśmiechniętą,
na skrzypkach swoich grasz piosnkę
zaklętą,
niedosłyszalną, w sobie zasłuchaną.

Czy chcesz w niej wygrać jasne istnień
[illegible]
niewidnych tonów melodią nieznaną
i czarodziejskich wyznać uczuć
[illegible]
ku życiu temu, które ci odjęto?

Czy może chwalisz w tej dziwnej
piosence
to, że nie zniżasz się ku życia męce,
śniąc tylko swego niebytu bukietu?
W słońca złocistej omdlałości słabej
o grajku, tylko słuchają cię żaby
i — pieśń czująca twa — dusza poety.

Wyjdźmy z ciszy dziedzińca z powrotem w gwar rynku i przystańmy pod pomnikiem Mikołaja Kopernika, który wznosi się w cieniu ratuszowej wieży. Widnieje na cokole jego postać genialnego uczonego która — z ruchem pouczającym ręki — wydaje się przemawiać, wykładać swą prawdę wirującym dokoła w życiu ludziom.

Przeszedłszy ku Wiśle napotykamy na sieć pokręconych, wąziutkich uliczek. Pełno wśród ich murów pamiątek przeszłości Baszty, stare bramy wjazdowe zamykające ulice wychodzące na bulwary nadwiślańskie, a przede wszystkim tajemniczy zabytek, Krzywa Wieża wznoszący się w obrębie murów obronnych miasta Legenda głosi, że jako pokutę wybudował tę wieżę wyklęty zakonnik. Czyni ona niesamowite wrażenie wisząc krzywo nad wąską uliczką.

Są też liczne zabytki krzyżackie, budowle z okresów, gdy bohaterskie miasto pomorskie niemało [illegible] wiecznych wrogów Polski. Są ruiny zamku krzyżackiego, porosłe trawą i zielskiem, ale do dzisiaj mówiące zrywami murów i wieżyc o krwiożerczości krzyżackiej.

Są liczne pamiątki z okresów pobytu różnych królów polskich w Toruniu, jest do dzisiaj gospoda, w której Jan III Sobiecki tańczył z kowalichą — historyczna „Gospoda pod niebieskim fartuszkiem".

Można dniami całymi chodzić po tym mieście zaklętym w przeszłość i coraz to napotykać na nowe zabytki, na nowe piękno. Nie byłem w Toruniu po wojnie — wiem tylko z opowiadania, że miasto to odżyło od razu, wykazując swoją historyczną prężność. Nowe zdobycze dzisiejszego Torunia, jak np. Uniwersytet im. Mikołaja Kopernika, nadają mu nowe piętno życia i pracy dla Polski.

Witold Zechenter

H. MORTKOWICZ-OLCZAKOWA

Karolek z Torunia

Idzie Karolek ze szkoły
i gryzie toruński piernik
i myśli: Jaki też mądry
był ten Mikołaj Kopernik!

Patrzy Karolek na Rynek,
na ratusz z czerwonej cegły
i myśli o Koperniku:
Jaki on był przebiegły!

Jak poznał, że słońce stoi
a ziemia się wkoło kręci —
nie wiedział tego z książki,
ale tak z własnej pamięci

Teraz go każdy wspomina
teraz go każdy chwali
bo on się na tym poznał,
a inni się nie poznali!

Idzie Karolek przez Toruń
wąską uliczką ku Wiśle
i mówi: Może ja kiedyś
też coś mądrego wymyślę!

TADEUSZ KUBIAK

Buty

O którejś tam godzinie nocy, w tęgą pluchę kołaczemy do ciemnych desek zawartych na głucho drzwi. Czterej zziajane piechury...

Nie otwiera nikt, choć nawilgłe wodą odzienie lgnie nam na całym ciele.

Nie prawda, by nie słyszeli — Brzdąc nawet klnie z pasją —

— Udają, psia ich mać...

Już się na pewno obudzili na nasz gorący jazgot, z jakim tłuczemy w drzwi i okna. Już się na pewno zszeptali ze strachem po wszystkich kątach i teraz milczą przezornie. Nawet pies nie zaszczeka. Nic

Przecież nie przestajemy kołatać, robimy to tylko teraz jeszcze goręcej, jakby z nagle narastającym gniewem. Aż się w końcu zza szyby wyskrzybuje malutkie światło.

— Widzisz? — cieszy się Brzdąc.

Górą ciekną w ogromnych leśnych sosnach, a w wysokich krzakach, które rosną pod samą chałupą, w ich głuchej, ciemnej zieleni brzęczy z nieustannym chlupotem od zaciekłej ulewy. Krzaki te kładąc się na niskich sztachetach opłotków, plotą się ścisłą mierzwą naokół. Z owego gąszczu wynurza się reszta naszych Równocześnie ustępują wreszcie pod silnymi kopniakami Brzdąca milczące drzwi i rozwierają się naroścież.

Jesion pierwszy skacze do sionki. Porucznik liczy w ciemności zmęczonym głosem —

— Dwa, cztery, sześć, dziesięć. Dość. Reszta do następnych chałup.

Z nami zostaje wachmistrz, tamci odchodzą w głąb nocy, ścieżką wąską obok drogi, po której wiatr zamiata czarnymi gałęziami z głuchym hukiem

W progu stoi siwy chłop. Widzę go na zawsze — jedną ręką podtrzymuje gacie, w drugiej podnosi w górę latarnię, jakie to zwykle palą się nocą przy wozach — i niespokojnym wejrzeniem myszkuje po naszych karabinach, plecakach i przemoczonych odzieniach.

Kiedy przechodzę obok mówię — Dobry wieczór.

Chłop jednak nie odpowiada i robi mi się przykro. Słowa moje zabrzmiały, jak mimowolna ironia. Podkreśla ją jeszcze zadzierzysty kułak, jakim Brzdąc niby to chciał się przypochlebić staremu. Miał to być taki sobie dobroduszny odruch pojednania. Cóż ci przecież za pojednanie — skoro staremu aż zadrżała lampa w podniesionym ręku.

Ale Brzdąc uśmiecha się do chłopa, mruga doń okiem i już jest między nimi zgoda, jak nigdy. Taki jest — psia krew — ten Brzdąc.

Mruczy coś jeszcze chłopu dobrotliwie, a potem gwiżdże.

— Kto cię teraz przytuli...

Chłopaki rozłażą się po całej chałupie. Robi się widno. Młodziutka dziewczyna, z rozpuszczonymi warkoczami i bosa wnosi naftową lampę, która filuje czarną chmurą sadzy. Pod ścianą w łóżku dwaj mali chłopcy ko-

tłują się niecierpliwie z wezbraną natarczywością wysokich pierzyn, starając się wysunąć spod nich gołe nogi i ostrzyżone łby.

Ale wachmistrz uśmiechając się do nich mówi: — Śpijcie sobie skrzaty— I starsza, siwa kobieta okrywa malców z powrotem obfitymi pierzynami. Patrzy przy tym z wdzięcznością na wachmistrza. Ten wsuwa pistolet w skórzaną pochwę przy pasie, rozgląda się łagodnie po izbie i ziewa soczy-[illegible]

— Ładne chłopaki — powiada, głaszcząc jednego z nich po głowie — po [illegible]

— Anoć malutkie to jeszcze. Jeden ma pięć lat, a drugi sześć. Takie chudziaki moje — mówi kobieta, przytulając ich do siebie.

Wszystko jedno zresztą — deszcz szumi w strzesze daleki i niegroźny oto pod dachem, leciutkie ciepło snu międli się po kątach i przelewa z izby do izby.

Ważne jest teraz to ciepło, które zziębniętych godnie pieści w przytulnym zaduchu. Opieramy karabiny o ściany i ściągamy czym prędzej przesiąkłe dżdżem kurtki i koszule. Zaś ta sama dziewczyna, która wniosła lampę, poczyna rozpalać ogień. Mój ty Boże, jak nas cieszy suchy trzask łamanych świerczyn i skwir niecących się iskier.

I nastaje chwila, że otaczamy kuchnię i krzątającą się przy niej dziewczynę kołem, że patrzymy w grube płomienie bijące spod blachy, że mimo woli wyciągamy do nich zziębnięte ręce i podajemy pod ich gorący dech mokre bluzy, z których bucha cuchnąca, przepocona woń gwałtownie suszących się drelichów.

Mijają chwile. Dopiero wachmistrz— lustrował był właśnie chałupę, każdy kąt, każdą dziurę — i gdzieś tam z tylnej przybudówki, zza kufra, czy szafy, z kupy zeschłych, tamtorocznych grochowin, wlecze krępego rudzielca.

— Widzicie go, ptaszek jakiś — huczy tęgim basem — krył się przed nami. Cóżeś to za jeden? — dogaduje zjadliwie.

Znów nastaje chwila, że splatamy się ciasnym kołem wokoło tych dwóch i czekamy, spoglądając to na jednego, to na drugiego — co z tego też wyniknie?

No i wynika całkiem niespodziewa-[illegible]

Wachmistrz mruży oczy i sroży się urzędowo.

— Mówić mi prędzej, coście za jeden?

Zwraca się przy tym do starego, tkwiącego wciąż jeszcze przy drzwiach i trzymającego gacie w garści. — Co to za człowiek?

Ale stary bije się tylko w piersi, nie mogąc ust złożyć do odpowiedzi.

Wachmistrz przeto swoje z powrotem do rudzieca.

— Coście za jeden?

Dopiero rudemu zaczęło się powoli, powoli rozklejać długim, niepewnym słowem w dygoczących wargach.

— Ja tu z miasteczka, prosze pa-[illegible]

— Z miasteczka? — wachmistrz trzyma go już za ramię i prycha mu gniewnie w sam nos — to na diabła po wsi się włóczycie i to po nocy?

Rudy, jak rudy — kręci głową, jak wiewiórka, a chytre oczy to mu tylko latają tu i tam. Obłazi każdego po kolei mrowiem ciętych, skaczących spojrzeń. Zaczyna zwodzić, ślizgać się — ano co? — przyszedł, — i — przecież panowie widzą — ulewa... To i przenocował. I wszystko.

— Wszystko, nie wszystko.

Wachmistrzowi jednak nie wystarcza, bo nastaje na niego ostro i z uporem. A ktoś, może to nawet Szczepan, rzuca niespodziewanym domysłem: —

— Musi to jakiś szpicel.

Ogarnia nas dziwny niepokój. Natęża się zimnym milczeniem — w nas, w nim, w młodej dziewczynie i w tym starym i w owej siwej kobiecie, wysiadującej ze strachem brudny róg pierzyny obok dzieci.

Nagle rudy pierwszy otrząsa się z przerażenia. Sam sobie powtarza — Szpicel? — i staje cały w lodowym świetle tej jednej myśli. — Ratować się..

Chwyta wachmistrza za rękę. Wgląda mu w oczy tak jakoś pokor-[illegible]

— Z miasteczka jestem — tłumaczy usłużnie — sklepik mam na rogu. Żona sprzedaje, a ja wożę towar.

Wachmistrz patrzy mu w gębę ze zjadliwą ironią, ale wierzy w końcu. Niby dlaczego miałby nie wierzyć? Niespokojne oczy rudzielca stają w zielony słup wzroku zmartwiałe od rzetelnej i niespodziewanej uczciwości.

— Sklepik mam. Na dzieci człowiek ledwo zarobi.

Wachmistrz jednak nie daje za wygraną... Parska mu w sam nos i urąga od cwaniaków i wojennych paskarzy, aż się rudy stulą napowrót i przysiada w sobie, molestując pokornie — żeć mu ledwo na tych pięcioro dzieciaków starczy.

— Nakarmić to wszystko, odziać — narzeka chytrze i z przebiegłym wyrachowaniem. Kryje przy tym przezornie za ławą nogi w nowiutkich, jakby prosto zdjętych z kopyta butach, do których lśniących cholew lgną oczy niemal że bosonogiego Je-[illegible]

— Na co tej mendzie takie chodaki.. — mruczy nawet na głos.

Milknie jednak zaraz, bo go wachmistrz pohamował i zgromił jednym poruszeniem wąsów. Nie znaczy to przecież, aby wachmistrz zmiękł wobec rudego. Ani mu powstaje to w myśli. Gdy tamten zaczyna znów wyrzekać i wyżalać się—każe mu znieść to wszystko, co ma z sobą do jedze-[illegible]

— Prędzej, draniu — krzyczy nawet—wszystko, coś wyłudził od chłopów. Prędzej.

Rudy kramarzy i zwłóczy, targując się z zawziętym strachem. Wreszcie, przyuczony pośpiechu leciutkim pchnięciem kolby — takim, żeby sobie nie myślał, że się będą z nim certolić — znosi nam pod nogi ciężkie wory i sakwy, z których wyciąga za koleją — masło, słoninę, jaja...

Tego tylko nam było trzeba...

Chłopakom oczy błyszczą — jakoś tak — jak to chłopakom, gdy dwadzieścia cztery godziny blisko nic w gębie nie ma. Ze smakiem przełykają samą już ślinę. Kaszka, jako że w cywilu w knajpie „Pod Kogutkiem" za

starszego był w kuchni — rozpala się zaraz w gorączkowych przygotowaniach do wieczerzy.

Tylko mu rudy na te ręce szybkie i zwinne z rozpaczą spogląda i miele coś gębą, gdy toczone gomułki masła parkoczą w garnku. Pomaga kto żyw. A chłop najpierw gacie, potem portki podwiązuje postronkiem i nabożnie wpatruje się w komin. Wychodzi w [illegible]

Dzieciaki zaś na łóżku, wykotłowały się już spod wysokich pierzyn i wścibsko zaczynają się merdać i zaglądać z daleka w dymiące gary.

Nim jednak owo żarcie się rozpoczęło — roznosi się po sionce zajadłą użeraniną.

— Cóż tam znowu u diabła? — pyta wachmistrz w stronę uchylonych [illegible]

Najzwyczajniej — chłop rozparty w nogach, jak do kosby, stoi na środku sionki i podchwytuje znoszono przez chłopaków pęki słomy, biadoląc przy tym okrutnie.

A niech mu tam — nic se z tego nie robią. A obfite snopy aż się im przelewają w szerokich objęciach, szumiąc i łamiąc się sucho.

Gdy stary ujada — warczą mu w sam pysk, jak szczeniaki staremu kundlowi — Żałujesz? — i z przekąsikiem zjadliwym — Żałujesz dziadu?

Więc stary mięknie w przezornym strachu i chrypi niby to spokojniej.

— Adyć nie żałuje, nie żałuje panom, jeno szkoduje sobie. Jeden snopek, — z Bogiem — po co zaraz cały [illegible]

Ale zziębnięte chłopaki walą się w słomę, nie swarząc się dłużej ze starym, ledwie mu który syknie dosadnie — Stul się pieronie...

I wyciągają się nogi i ręce na chrupkim posłaniu, by choć trochę odsapnąć przed owym żarciem.

Chłop tylko drepcze koło wachmistrza i żali się i żali się...

— Bo proszę pana oficera — sam służyłem i w ruskim wojsku i w polskim potem. Ale teraz inaksze czasy...

— Z czym niby inaksze? — wachmistrz rozmawiał bardzo łaskawie.

Ae ze staremu podają tak samo dymiącą menażkę z kaszą — wachmistrz mówi mu pojednawczo.

— Zjedzcie se i wy.

Stary wzbrania się, nie chce — lecz w końcu je, smakuje sobie i chwali. A że dzieciaki i kobieta dostają również — rozkleja się w nim trochę od tej ciepłej łyżki. Garnie się nawet do towarzystwa i ocierając wąsa, mówi pochmurnie:

— Ano ze wszystkim są inaksze [illegible]

Wachmistrz patrzy nań przenikliwie i ciągnie starego za język.

— Na wojnie, jak to na wojnie. Cóż ci sie mój stary w tym nie po-[illegible]

— Ano, choćby i z tym... Jako właśnie panowie przyszliście...

— A — przyszliśmy. —

— I pójdziecie.

— Pewno, że pójdziemy. Nie będziemy tu wiekować — śmieje się wachmistrz.

— Las ta jest wielki — kalkuluje chłop z uporem.

— Juści że wielki.

— Ej — wielki, wielki — ino, że nie dla każdego on jest. Ja tu ostanę.

Jak żandarmy przyjadą za wami — kto będzie za was świcił oczami? Kto będzie po karku brał? Pytam się — kto?

Staje cały w gorączce tego nagłego pytania. Podciąga postronek przy portkach i rusza wąsami, jakby coś przeżuwał. Rudy nagle podsuwa się do rozmawiających i myszkuje tymi ślepkami tu i tam. Jak to rudy.

— W tamtą niedzielę — mówi przyciszonym głosem, niby to ukradkiem — na rynku w miasteczku — ot, o trzy kroki od mojego sklepiku — powiesili trzydziestu. Powiadali ludzie, że to za ten most kolejowy, co go partyzanty wysadziły...

Wachmistrz marszczy czoło i wbija oczy w ziemię.

— Tak. Wiem, bo mi rodzonego brata tam zawiesili na stryczku...

Sapie głęboko i dodaje, jakby kończąc zdanie rozpoczęte już z dawna w myślach:

— Ha, gdzie rąbią tam i wióry [illegible]...

Rudy uśmiecha się. W tem z sieni, czy z izby sąsiedniej — nie wiem — gdzie na słomie wyciągają się znużone chłopaki — podnosi się cichutka melodia organek. Po jej skocznym rytmie — poznaję odrazu — tak, to gra Brzdąc. I na chwilę wszyscy milkną, tylko młodziutka dziewczyna stojąc przy kominie kołysze się do taktu i uderza bosą stopą w podłogę.

Ale stary przerywa to milczenie. Jak był się przed tym zachłysnął własnym pytaniem, tak i nagle otrząsa się z niego, podejmując cichym głosem swoje.

— Chłop jestem i wiem swoje.

Przyglądamy mu się uważnie — wachmistrz, ja i jeszcze tam ktoś.

Brzdąc gra coraz skoczniej. Jakiś obertas z piekła rodem gzi się po kątach przyległej, ciemnej izby. Dziewczyna stojąc przy kominie wtóruje mu ruchem ramion, bioder i nóg. Ktoś z leżących gwiżdże:

Oberek, obereczek...
Mazurek, mazureczek...

— Boicie się nas, jak ognia — powtarza ponuro wachmistrz.

— A bo i mało poszło przez was wiosek z ogniem?

— Wiem, wiem — wszystko wiem. Ale słuchaj, ojciec — widziałeś, jak twoja kobieta płacze z bólu, gdy rodzi... Może i przeklina te małe... Dziś klniesz i ty. Musi tak być. Nie da rady inaczej. Muszą tylko wszyscy razem chcieć. A nie żeby widłami we swoich — bo tam gdzieś Niemiec pod[illegible].

Teraz nie chłop przed wachmistrzem, ale wachmistrz stoi przed chłopem. Nie cietrzewi się, nie gniewa — błaga starego, zaklina — zanurzony spojrzeniem w jego wypłowiałych siwych oczach.

Mówi mu naprawdę, jak syn: — Wierzcie mi, ojciec...

Organki milkną. Dziewczyna pochyla się nad lampą, która nieustannie filuje, wieje chmurą sadzy. Przekręca lekko blaszaną śrubkę i różowy płomyk, jak mały kwiat — maleje jeszcze bardziej, kurcząc się w sobie. po zakamarkach sprzętów i kątach izby. W oknach słaniają się gęste krze, mokrymi liśćmi ślizgając się po szy[illegible].

Kucharz Kaszka śpiewa w ciepłym szmerze słomy, na którą wali się w butach i bluzie — nucą i inni: —

— Żołnierz drogą maszerował,
nad serduszkiem się użalił.

Do uchylonych drzwi podbiegła dziewczyna. Oczy jej kwitną. Rozkłada ręce takim ruchem, jak ptak rozchyla skrzydła. Cienka w pasie, w rozwianych ku dołowi sutych spódnicach, przywodzi na myśl skrzypce. Szczepan potrząsa wielką, czarną czupryną, podchodzi do niej z tyłu i obejmuje ją wpół. — Staje się to nagle, tak ni z tego, ni z owego. Chyba przez piosenkę, po prostu. Dziewczyna nie broni się wcale..

Odchyla tylko głowę i śpiewa ra[illegible].

Ale staremu jest już tego za wiele. A tu mu jeszcze na domiar złego jeden z małców poczyna się plątać pod nogami i podskakując w górę — pcha pod same wąsy zieloną czapkę Brzdąca. Woła przy tym z radosną natarczywością:

— Dziadek, adyć patrz...

— Widzę, przecież widzę — burczy niekontent, że się mu pętak pod nogami plącze — nic osobliwego. Czapczysko jakieśik stare i tyle.

Ale mały podskakuje na jednej nodze i piszczy nieustannie:

— Fi, fi... A to, a to co to jest? Dziadek nie widzi?

Stary patrzy urągliwie na srebrną blaszkę przyczepioną do czapki. Przekorny uśmiech podwija mu suche, starcze wargi ku górze, aż się te dwa ostatnie zęby wyszczerzają z bezsilną drapieżnością. W upartym zacietrzewieniu nie rozumie podniecenia jakie ogarnęło małego na widok orzełka wyciętego z blachy.

Gniewa się tylko i burczy przez ra[illegible].

— A raku uprzykrzony... Niech ci ten pan powie, co to jest — pokazuje oczami wachmistrza — on wszystko wie najlepiej.

Zaskoczony zupełną ciszą, Brzdąc poczyna znów wyciągać jakąś skoczną i wesołą nutę. Rudy chrząka w kącie i wyciera nos. Z wysuniętą ciekawie głową naprawdę podobny jest do wiewiórki, która między jednym a drugim skokiem — przysiadła na ga[illegible].

Ci dwaj wciąż jeszcze stoją naprzeciw siebie. Błąkają się im po wargach jakieś dziwne słowa. Nie mają jednak odwagi wypowiedzieć je. Po chwili przecież stary zaczyna ze zjadliwym uporem powtarzać od nowa — wiem — tak i wiem. Swoje — chłopskie.

I znowu się dziad rozwodzi szeroko, jak mu miesiąc temu świnkę wzięli ci z lasu a temu dwa tygodnie — konia. To i cóż, że za pięć dni zgoniąną szkapę oddali—skoro mu szwabów na łeb zwlekli.

Bo i za pierwszym razem i za drugim razem — Niemcy z miasteczka przyjeżdżali, niby szukać, niby tropić...

— Com wziął po grzbiecie i po pysku, to ja jeden tylko wiem. A i stodółkę mi dranie spalili. Ech — macha ręką z odrazą. Ociera gębę dłonią i powtarza twardo, że oto stąd wie swoje... swoje chłopskie...

Rudy spluwa głośno w kąt izby. Wachmistrz i stary spojrzeli w tym kierunku. Potem patrzą sobie w oczy. Krótko, przez jedno mknienie powiek. Nie mówią sobie chyba nic tym spojrzeniem. Bo i co mieli sobie mówić?

A do dziewczyny krzyczy z prawdziwą pasją:

— Marcyna. Pódziesz spać. Bo pasa zdejmę.

I wychodzi czerwony z gniewu jak [illegible].

Wachmistrz skręca papierosa grubego na paluch i przypala go nad lampą. Patrzy przy tym na zegarek. Jest trzecia nad ranem i czas zmiany stójki przed chałupą na drodze.

Idziemy — Jesion i ja. Ulewa ustaje. Drobny deszcz biega jeszcze po dachu i pod krzakami, ale ukrytym pod wielkim kasztanem — nie dokucza zanadto.

Mokry chłód lufy rozmięka mi pod palcami. Jesion kaszle i pluje w błoto. Nie dzieje się nic.

I wtedy to słyszymy głos naszego porucznika. Brnąc przez gęste kałuże idzie z jakimś człowiekiem. W szarym połysku niedalekiego świtu widać wyszarzałe palto i kapelusz nieznajomego.

Nie dzieje się nic. Nieznajomy tylko mówi poprzez szmer deszczu w kwitnących bzach.

— Chłop? Poruczniku, jako nauczyciel obserwuję ich od dawna. Tak. Chłop jest chytry, ale tego nauczyły go lata pańszczyźniane. A co jest najważniejsze, to to, że ma instynkt. Nie można tylko za dużo wymagać. To pewne, że chętniej odda — mówiąc patetycznie — krew, niż wiązkę siana. Ale taki już jest i basta.

Wiatr podrywa się po gałęziach. Ci dwaj przystają. Może zapalają papierosa. Potem i oni odchodzą w kierunku sąsiedniej chałupy. I znowu nic dzieje się nic. Daleko w zawilgłych polach powoli poczyna się świt. Jesion tylko wciąż kaszle, wybierając skrawki suchszej ziemi, by dziurawymi butami, z których wychodzą mu palce, nie tkwić w żywej wodzie kałuż.

Tak nas nachodzi stary z chałupy. Staje z boku i słucha, jak się z piersi Jesiona rwą tłumione wybuchy kaszlu i szarpią gdzieś, głęboko w płucach chłopaka. Podchodzi bliżej i ogląda paluchy wyłażące z dziur wydartych do cna buciorów. Aż Jesiona to gniewa. Nadyma się złością i urąga staremu od nocnych Marków.

— Idź dziadu, pośpij -- powiada mu nawet na zakończenie.

I dziad odchodzi.

Ale wraca.

Trzyma coś pod kapotą i ociera wąsy, jakby chciał tym pokazać, że ma zamiar mówić. A tu, jak przed tym w chałupie wygadany był — tak mu teraz nagle brak słów. Wysuwa tylko spod poły buty połyskujące cholewami, stawia pod kasztanem obok Jesiona i mówi — mimochcąc chyba — bo zły jest w chwilę potem jak pies.

— Nałóż je, synku, boć w twoich to ci tylko na cmentarz pomaszero[illegible].

— Ojciec, przecież to buty tego ru[illegible].

Chłop cieszy się tylko.

— Ano rudego. Alem sobie z nim poradził. W garści jeszcze tej krzepy. Bogu dziękować, coś niecoś ostało. Naści. Kładź, bo droga przed wami siarczysta. A tu wiatr i słota.

Patrzy w niebo nad lasem.

— I kto wie kiedy będzie odmiana?

Tadeusz Kubiak

STANISŁAW WYGODZKI

Wiersze

Czytanie ruin

Nie upiór wraca. Żywy człowiek
na gruzach staje i wśród ścian
dotknąwszy ruin — dotknie ran
i chciałby mówić, lecz nie powie
i milczy. I wystarczy wzrok
zwrócony w przestrzeń niepojętą
strychów, piwnic, zdartych pięter —
i wiedy uczyń pierwszy krok.

I przejdźmy razem milcząc, w ciszy
ku studniom piwnic, zejdźmy w głąb
gdzie jeszcze teraz z tobą słyszę
tę rwącą serię pierwszych bomb
i teraz jesteś — nie za wcześnie
i teraz jesteś w porę, w czas,
by echo biło raz po raz
spóźnioną porą mego września.

I sześciokrotnie się powtórzy,
a ty się boisz, widzę lęk,
posłuchaj — słyszysz jeszcze jęk?
nasz cień na chwilę się wynurzy
i legną, runą oniemiałe
dwa cienie w jeden krzyż na gród,
gdzie leży obcej matki trup
i nie płaczemy nad jej ciałem.

I nie mów. I nieznane miasto
poległe w walce trwa od lat
i jakbyś własną matkę kładł
pod ziemię wonną i trawiastą
z tem miastem razem co przypomni,
że kiedyś był ogromny wiek
gdy z miastem człowiek razem legł
z ruiną zespolony w pomnik.

I pójdziesz dalej. Martwy człowiek
w umarłym ruchu milcząc tkwi
i chciałby mówić, lecz nie powie,
do okien zmierza i do drzwi.
Od sześciu lat powtarza ruch
odejścia, biegu, mknięcia, skoku -
on jeden martwy i nas dwuch
słuchamy jeszcze słów wyroku.

A on spogląda. Siwy proch
na rzęsy pada i narasta,
od sześciu lat zdławiony szloch
przebiega pośród ruin miasta
i wraca błędny w ten korytarz
gdzie deszcz się sączy, pada śnieg
co z niebem tak jak biały ścieg
tę ziemię łączy, którą czytasz

Ewidencyjna księga

Zajrzę kiedyś w miejskie księgi,
w jakieś tomisko ciężkie, grube
z grzbietem opiętym w czarną śrubę,
sznurem ściągnięte jak popręgiem,
zajrzę w tę księgę, której karty
ominęły liście tułacze,
kwiaty powiędłe, zioła przeznaczeń
z wielolistnej akacji zdarte.

Zajrzę w te księgi, które z mozołem
od lat spisywał jakiś urzędnik,
jeszcze siedzi nad nią i więdnie,
blady, zmarszczony o żółtem czole
siedzi i pisze, patrzy w kolumny
i na chwilę odłożył obsadkę.
Kiedyś w nią wpisał moją matkę,
której nigdy nie złożę do trumny

Kiedyś w tę księgę cyrylicą
wpisał mi ojca, by na żywot
dać mu nazwisko, starość siwą,
którą pożegna razem z ulicą
dawno schodzoną, którą przemierzę,
aby przeczytać raz tę księgę
co się przeciwko mnie zaprzysięga,
i nie wiem gdzie zwłoki ojca leżą.

Kiedyś łacińskim alfabetem
wpisał w nie imię mojej żony
i czytam jej imię zatrwożony
i mówię: nie płoniesz! i wołam: to nie ty!
I czytam nazwisko mojej panny
co towarzyszy mi w księdze dotąd
i towarzyszy, lecz bez powrotu,
bo ja powracam sam, ale ranny.

I wpisał mi później imię córki,
by zanim umiała jeszcze chodzić
w tej księdze była ze mną w pochodzie,
jak obok dzwonu głos sygnaturki
i teraz czytam jej krótkie imię —
nie dzwony dzwonią, nie śpiew mnie
kiedy krew jej rzuciła się z krtani
i płonącej nie było przy mnie.

I tylko imię własne powoli,
jedyne imię spośród żywych
czytam jak ciemne ziele pokrzywy,
lecz mnie ono wcale nie boli,
bo spoczywa liściem tułaczym
zagubionym na czarnych grobach,
jak kładziona pospiesznie żałoba
moich dalekich, ciemnych przeznaczeń.

Chrystus Oświęcimia

Który przychodził z twarzą zakrytą
i ręką krwawą zerwaną z krzyża,
schodził co wieczór z zamglonych szczytów
i do Brzezinek cicho się zbliżał.

Który spoglądał na tłumne rampy
i na wagony zabite deską
zapalał w ciszy zgaszone lampy
białą, czerwoną i ciemno-niebieską

Który przechodził ze mną po szlaku
i bramę mijał i wchodził w druty,
wracał z powrotem w zdartym pasiaku,
mając na stopach drewniane buty.

Który powracał i towarzyszył
tym co do komór weszli bez masek,
słyszał wołanie i krzyki słyszy
i widział trupy rzucone na piasek.

I który widział płomień i stosy
i moją Córkę, Ojca i Matkę
dotykał ręką płonących włosów
i był przez lata milczącym świadkiem
i który z krzyża wichrem zerwany
stoi u wejścia gazowych komór
w rozwartej dłoni wskazuje rany
i drzwi otwiera do mego domu

MGR. WŁADYSŁAW TĘCZA

Rozmieszczenie, ilość i jasność gwiazd

W popularnych mniemaniach, policzenie gwiazd uchodzi za przedsięwzięcie zgoła niewykonalne za względu na ogromną ich liczbę. Prawie wszędzie, w literaturze czy piosence, mówi się o miljardach gwiazd błyszczących na niebie, podczas kiedy naprawdę, gołym okiem można dojrzeć naraz nie więcej niż 3 tysiące, a przecież trudno przypuścić, by poeta w nastrojowym wierszu miał na myśli obserwacje nieba przy pomocy lunety. Liczeniem gwiazd zajmowano się z pozytywnymi [illegible], bardzo dawno, a już w II wieku po Chr. astronom z Aleksandrii Ptolomeusz, ułożył katalog ponad tysiąca najjaśniejszych gwiazd.



Pomnik Kopernika na dziedzińcu Uniw. Jagiellońskiego w Krakowie.

Od najdawniejszych czasów orientował się człowiek podług gwiazd i aby te orientację ułatwić łączył jaśniejsze gwiazdy w różne figury, tworząc w ten sposób pierwsze *konstelacje*. Następnie, dopiero ludzie o bardziej bujnej fantazji, zaczęli dopatrywać się w nich podobieństwa do różnych postaci, a nawet do całych scen mitologicznych, i nadawali im odpowiednie nazwy. Większość gwiazdozbiorów północnych ma nazwy nadane jeszcze w starożytności, natomiast konstelacje południowe zyskały nazwy dopiero po odkryciu nowych lądów. Również pewna część jaśniejszych gwiazd otrzymała imiona w starożytności, inne ponazywali w średniowieczu Arabowie, jedyni, którzy wówczas kultywowali astronomię.

Już w czasach starożytnych rozróżniano gwiazdy wedle jasności, przypisując im różne *wielkości gwiazdowe*. Obecnie zachowała się ta klasyfikacja oparta jednak już na dokładnych pomiarach fotometrycznych. *Wielkości gwiazdowe* oznacza się liczbami w ten sposób, że im pozorny blask gwiazdy jest mniejszy, tym liczba odpowiadająca jej jasności, jest większa. Wzrostowi wielkości gwiazdowej o jednostkę odpowiada 2,5-krotne zmniejszenie pozornego blasku. Np. Wega (gwiazda w konstelacji Liry) jest 0,1 wielkości gwiazdowej, zaś Aldebaran (konstelacja Byka) posiada wielkość 1,1, oznacza to, że Wega jest 2,5 razy jaśniejsza od Aldebarana. Ogół jaśniejszych gwiazd jest około zerowej wielkości, a przy bystrym wzroku, gołym okiem można dojrzeć gwiazdy najwyżej 6-tej wielkości. Ażeby można było również w tej skali oznaczać jaśniejsze obiekty, używa się także wielkości ujemnych. Np. Syriusz ma jasność — 1,6 czyli jest prawie 4 razy jaśniejszy od wspomnianej Wegi. Jasność Księżyca wyraża się liczbą —12,6, a Słońca —26,7.

Od czasu, kiedy Galileusz pierwszy raz skierow[illegible] strzegł, że jasny blask Mlecznej Drogi pochodzi od ogromnego skupiska gwiazd, niedostrzegalnych gołym okiem, do chwili obecnej, ilość znanych gwiazd wzrasta ciągle w miarę udoskonalania narzędzi. Najdoskonalszymi przyrządami, jakie obecnie istnieją, możemy fotografować gwiazdy do 21 wielkości, których ilość w naszym układzie Drogi Mlecznej sięga liczby 30 milionów. — Należy pamiętać, że wielkość gwiazdowa nie określa zupełnie ani bezwzględnej jasności danej gwiazdy ani też jej rzeczywistej wielkości jedynie jej pozorną jasność dostrzeganą przez obserwatora ziemskiego.

Odległości gwiazd są tak ogromne, że do ich mierzenia używa się specjalnych jednostek: *lat świetlnych*, to jest odległości, którą przebiega światło, (biegnąc z szybkością 300 tysięcy km na sekundę) w ciągu roku. Otóż odległości gwiazd najbliższych nam, liczą się na lata światła a najdalszych jakie możemy dostrzec w mgławicach poza galaktycznych na ich miliony. — Na skutek tak różnych odległości dostrzeganych przez nas obiektów, mamy możność oglądania na ekranie nieba, realizowanego przez Naturę filmu z dziejów Wszechświata, rozgrywającego się na przestrzeni wielu tysięcy lat. Dostrzegamy równocześnie jeden obok drugiego dwa punkty świetlne, jeden z nich jest obrazem jakiejś gwiazdy z przed lat wielu tysięcy. Tak więc to co przez jedno mgnienie oka w pogodną noc dostrzegamy na niebie, nie dzieje się jednocześnie, lecz jest obrazem zajwisk, których różnice w czasie sięgają setek tysięcy lat.

Układ Drogi Mlecznej czyli *Galaktyka* czyli „nasz" najbliższy świat gwiazd, kształtem przypomina ogromny dysk, którego średnica w największym wymiarze przekracza 40 tysięcy lat światła, zaś grubość 6 tysięcy. Liczby te odnoszą się do samej Galaktyki, bez całego układu *kulistych gromad gwiazd* otaczającego ją dokoła. Ponieważ razem z naszą dzienną gwiazdą Słońcem, znajdujemy się prawie w środku Galaktyki, więc w kierunku największej jej rozciągłości powinniśmy dostrzegać najwięcej gwiazd.

Tak też jest istotnie, ów kierunek największej rozciągłości Galaktyki zaznaczony jest okalającym niebo jasnym pasem Mlecznej Drogi.

Daleko poza granicami naszej Galaktyki, w zawrotnych odległościach milionów lat światła, dostrzegamy mgławice będące odrębnymi układami nowych milionów gwiazd. Ilość znanych obecnie takich mgławic sięga już setek tysięcy, a zapewne przy użyciu budowanego w Ameryce reflektoru o średnicy 5 metrów, powiększy się wydatnie.

Kiedy zastanowimy się nad rozwojem znajomości Wszechświata postępującym wraz z doskonaleniem metod i narzędzi, stajemy przed pytaniem: Czy istnieje i jaki jest kres naszego poznania budowy Kosmosu? Na pytanie to najlepiej odpowiedzieć przysłowiem: Kto dożyje, ten zobaczy.

RAJMUND BERGEL

Toruń

Poemat starych murów, gotycka nowenna,
koronka rzeźb kamiennych, łuków, bram, portali,
w których słońce purpurą przeszłości się pali,
a przeszłość ze swych wspomnień spowiada się

Ponad miastem kościelne wystrzelają wieże,
a każda się modlitwą dzwonów w niebo wzbija·
święty Jan — święty Jakób — i święta Maryja —
gędźbą żywych kamieni szeptane pacierze.

A kiedy mgły wieczorne w krąg się pokładą,
wtedy z ulic, z zaułków echo przeszłej chwały
budzą się romantyczną, czarowną balladą...

I zapatrzony w gwiazdy, gdzieś górą błądzące,
stary gród wielką dumą rozpieśniony cały
kłoni się mocarzowi, co zatrzymał słońce.

JERZY BROSZKIEWICZ

MŁODA POLSKA

Faktem jest, że już koniec XIX wieku zapowiadał, iż następne stulecie napewno nie będzie pogodną sielanką. Mniejsza zresztą o ówczesną sytuację polityczną czy socjalną, które również wcale nie przypominały bezchmurnego nieba. Ale choćby nauka, filozofia, sztuka — wszędzie panowało wrzenie: obalano stare prawdy i stare bożki, na wszystkie strony wypowiadano wojny ideologiczne, przeprowadzano przed nadejściem nowego wieku prawdziwe „świąteczne porządki" — co zużyte, na śmietnik!

I oto rok 1900 zastaje wszystkie kraje Europy w stanie umysłowego wrzenia. Europa bowiem nie ukończyła na czas swych naukowych, filozoficznych i artystycznych „świątecznych porządków". Wszędzie trwają kłótnie i wszędzie śmietnik jest modny. Nawet tak dobroduszne i spokojne kraiki jak Holandia, Dania czy Szwajcaria przeżywają swoje umysłowe rewolucje. Cóż więc dzieje się w takiej Francji czy Rosji? Albo w Polsce?

W Polsce dzieje się właśnie tak, jak wszędzie. Wprawdzie obrońcy starego ładu są jeszcze stosunkowo silni, to jednak czas — największy w końcu sędzia ludzkich racji — walczy po stronie młodych. Ci młodzi to Wyspiański, Kasprowicz, Stanisławski, Brzozowski, zaś w muzyce Karłowicz, Fitelberg, Szeluto, Różycki i — jeden z największych naszych kompozytorów — Karol Szymanowski.

Właśnie w roku 1900 powstaje pierwsza w Polsce filharmonia warszawska. Jest to znak nowego ruchu. Z estrady tej filharmonii promieniuje na cały kraj nowa muzyka Europy — a jest to infekcja bardzo groźna dla starego porządku — zaś w krótki czas potem zaczynają być głośne i, rzecz jasna, zwalczane nazwiska kompozytorów, którzy porzucają dawne szablony, formy i drogi, by wbrew przeszłości, a nawet wbrew opinii większości społeczeństwa ukazywać nowe drogi, tworzyć nowe formy i — mówiąc między nami — także nowe... szablony.

Jako pierwszy z tej grupy, zwącej się (podobnie jak innych dziedzinach sztuki) „Młodą Polską" występuje na forum publiczne Mieczysław Karłowicz. Początkowo ulega — niezbyt zresztą szczęśliwie dla swej twórczości — wpływom Czajkowskiego i Griega, i w tym okresie, młodzieńczym, pisze kilka pełnych wdzięku pieśni, koncert skrzypcowy i symfonię by wreszcie — i już ostatecznie — poświęcić się formie panującego wówczas w Europie poematu symfonicznego. Należy wyjaśnić tu jedno: Karłowicz jest pierwszym, który daje polskiej muzyce dzieła symfoniczne, dorównujące swym zasadniczym poziomem muzyce wielkich sąsiadów: Niemców i Rosjan Jego „Odwieczne pieśni" — O wiekuistej tęsknocie, o miłości i śmierci i O wszechbycie — Rapsodia litewska oraz poemat symfoniczny pt. „Stanisław i Anna Oświęcimowie" stanowią już same przez się epokę w historii polskiej muzyki. Można śmiało przypuścić, że gdyby nie przedwczesna śmierć — zginął w Tatrach przysypany lawiną — Karłowicz stałby się nie tylko polską, lecz i europejską wielkością.

Na tę samą drogę co Karłowicz wchodzą trzej inni kompozytorzy: głośny już dziś w całej Europie dyrygent Grzegorz Fitelberg, Apolinary Szeluto i Ludomir Różycki. Reprezentują oni zresztą trzy odmienne typy twórcze — z tym, że Fitelberg jest silniej zależny od ówczesnych wybitnych rosyjskich kompozytorów, tzw. nowatorów, zaś Szeluto i Rużycki grawitują raczej ku sztuce niemieckiej — a także różnią się od siebie w swojej postępowości: Szeluto i Fitelberg wykazują większą, powiedzmy tak, odwagę w radykalizmie i opozycji wobec przeszłości niż Różycki, który znowu jest talentem bardziej spontanicznym i bezpośrednim. W końcu trzecia różnica: Fitelberg i Różycki wypowiadają się przede wszystkim w orkiestrze, pisząc poematy symfoniczne, symfonie, czy (jak Różycki) opery i balet — natomiast Szeluto zajmuje się chętniej instrumentami solowymi, głównie fortepianem.

Największym jednak, przerastającym innych o głowę, przedstawicielom tego czasu w polskiej muzyce jest kompozytor, którego nazwano spadkobiercą wielkości Fryderyka Chopina — Karol Szymanowski. Trudno dziś jeszcze porównywać te dwa nazwiska. Chopin zdał już najtrudniejszy egzamin artysty — próbę czasu — i zdał go imponująco. Szymanowskiego czeka dopiero ta próba, a wydaje mi się, że mimo wszystko nie wypadnie ona tak świetnie jak u Chopina.

W każdym razie należy jednak wiedzieć, że XX wiek to czas, w którym muzyka polska po raz pierwszy od czasów Chopina przestaje być pokornym uczniem Europy, stając się równorzędnym partnerem dla twórczości ogólno-światowej i że jest to głównie zasługą Szymanowskiego. Może nawet wyłączną zasługą Szymanowskiego. Ten wielki kompozytor nie był już — jak inni z „Młodej Polski" — tylko pośrednikiem pomiędzy Europą a naszą kulturą, lecz napewno dotrzymał kroku wielkim swego czasu i niewątpliwie dał wiele własnej myśli, własnej idei w dzieło powszechne.

Nie było to łatwe zadanie. Pierwsze trzy dziesiątki lat XX wieku są czasem jednej z ważniejszych rewolucji w historii muzyki. Jest to epoka stojąca pod znakiem jak najbardziej radykalnych poszukiwań i odkryć, epoka zrywająca z olbrzymią większością uznanych zasad, kanonów, prawd i konwenansów estetycznych, bezwzględna wobec wszystkiego co już było a co tylko da się odrzucić. Wielokrotnie zarzucano tej epoce — oczywista z „obozu tradycji" — jałowość, brak smaku, tzw. „silenie się" itp. itd. Błędnie! Jak zawsze w podobnych wypadkach błędnie. Trudno jeszcze dziś ustalić czy przewrót wywołany twórczością Strawińskiego, Schönberga i Bartoka będzie się zaliczał do największych, czy tylko do średnich rewolucji w muzyce. Natomiast można już śmiało powiedzieć, że przewrót ten nie był błędem, lecz wielkim krokiem naprzód.

Wiek XIX wytworzył w muzyce taką sytuację, że nie sposób było pozostać w granicach estetyki, która była dziełem jego stylów. A ponieważ wszędzie obowiązuje fizyczna zasada akcji i reakcji pozytywu i negacji, tak i w muzyce XX wieku postęp rozpoczął się od negowania wielkości uznanych w ubiegłym stuleciu. Dziś modernizm (tak można nazwać ogólnie tę epokę) przeszedł już do syntez i wkroczył w okres swego własnego klasycyzmu — jednak przed dwudziestu, trzydziestu laty był jeszcze tak ostrą, bezkompromisową walką o nowe wartości, że prowadzić ją mogły tylko talenty prawdziwie wielkiego formatu.

Na tle takich czasów Szymanowski jest wielki. Szczególnie dla polskiej muzyki. Widać to zresztą już po jego fortepianowych preludiach, które wydaje w 19 roku życia. Zaś jeśli się wspomina w związku z jego twórczością o jakichś obcych wpływach, to należy wiedzieć, iż zostały one w tak własny sposób przetworzone i zsyntetyzowane, że co najwyżej da się je nazwać podobieństwem.

Zresztą Szymanowski — jednostka chłonna i wrażliwa — nie trzyma się w swej twórczości jednolitego formalnie stylu. Przeżywa wpierw okres młodzieńczego, romantycznego w istocie pseudoklasycyzmu — potem okres, który można by nazwać modernizmem „barokowym" — wreszcie okres syntezy, uspokojenia, krystalizacji swego własnego stylu, najpiękniej i najpełniej określający jego twórczość. Jeżeli chodzi o ideologię Szymanowskiego można go w końcu nazwać nowoczesnym romantykiem — formalnie jest typowym a jednym z największych przedstawicieli słowiańskiego modernizmu.

Niełatwo było by znaleźć gatunek muzyczny, który został przez Szymanowskiego zaniedbany — a co więcej: trudno wskazać w jego twórczości choć drobiazg, który byłby powtórzeniem starych, zużytych form i konwenansów. Wszędzie da się odczytać niewidoczny, lecz już po pierwszych taktach każdej kompozycji oczywisty, nadruk: bezsporna własność. Obojętne — czy to forma pieśni, czy symfonie i sonaty, czy opery i słynny balet „Harnasie", czy wzruszająco piękne „Stabat Mater", czy młodzieńcze preludia i wariacje czy pisane na kilka lat przed śmiercią mazurki — każde z tych dzieł jest wobec historii nowe, wybitne i wielkie. Aby zaś wskazać palcem dzieła chyba najpiękniejsze, wyliczę: IV Symfonia, Stabat Mater, Pieśni kurpiowskie, Mazurki, Koncert skrzypcowy.

Poza tym wszystkim Szymanowski — niemal dosłownie — wychował całe pokolenie współczesnych kompozy-

torów polskich, których twórczość (winno się o tym wiedzieć i pamiętać) jest ważną pozycją na koncie muzyki ogólnoświatowej. Kompozytorzy tej miary co Roman Palester, Artur Malawski, Jan Maklakiewicz i in. wyszli właśnie ze szkoły ideologicznej i formalnej Szymanowskiego, a choć dzisiaj idą własnymi drogami i są niezależni, to jednak tym, który wyprowadził ich — czyli polską muzykę współczesną — w wielki świat nowych odkryć i możliwości był właśnie Karol Szymanowski.

W roku przyszłym przypada dziesięciolecie jego śmierci. Należy dbać o to, by owo dziesięciolecie nie przeminęło z kalendarzem tak błaho, jak byle która żałobna akademia. Naród polski nie zawsze umiał dbać o swoich wielkich artystów — nawet wbrew utartej opinii, nie zawsze choćby poza grobem. A jedno tu trzeba wziąć pod rozwagę: że niedocenianie sztuki przez społeczeństwo jest dopiero w drugim rzędzie krzywdą dla artystów — w pierwszym rzędzie jest krzywdą dla społeczeństwa.

JERZY BROSZKIEWICZ

INSCENIZACJE, TANCE i PIOSENKI

TADEUSZ CZERNIOWSKI

Zaduszki

Obrazek sceniczny w jednej odsłonie

OSOBY:
FELIKS
JAN
HELENA —
MARIA

Rzecz dzieje się w dniu zadusznym, współcześnie

(Skromnie umeblowany pokój. Wejście z ulicy z głębi. Po prawej drzwi, wiodące do kuchni, po lewej drzwi, prowadzące do pokoju Marii).

FELIKS: *(po trzydziestce, odziany skromnie, leży na kanapie, czyta książkę).*

HELENA: *(lat 23—24, w również skromnej odzieży robi papierosy).*

(Chwila milczenia. Zegar ścienny wybija sześć uderzeń)

FELIKS: *(nie odrywając się od czytania)* Szósta. A jej nie ma. i co?

HELENA: *(nie przerywając roboty)* Zaraz wróci.

FELIKS: Albo i nie. Szanuję czyjąś boleść, ani słowa, ale.. *(macha ręką).*

HELENA: Powinieneś nie zwracać na to uwagi...

FELIKS: Pewnie. Co rodzona siostra wyczynia, to mi ma być obojętne.

HELENA: Nie obojętne, ale powinieneś zrozumieć.

FELIKS: *(zrywa się z kanapy, ciska książkę na stół)* Nie rozumiem. W ogóle dużo rzeczy nie rozumiem. Niech mi kto powie, skąd tyle u nas obcowania ze zmarłymi, to obcowanie z nieżyjącymi, ciągłe wspominki, płaze, żale.

HELENA: Gdyby mnie nie stało, to..

FELIKS: To ja bym cię nie zapomniał. Żebym tak jutra nie doczekał. Ale żyłbym dla innych. To moje psie prawo być dla innych, nie tylko dla siebie. Ładnieby świat wyglądał, gdyby każdy zamknął się w sobie..

HELENA: *(zaczepnie)* A czegóż ty chcesz od Mani? Posadę ma, łaski niczyjej nie potrzebuje. A że o Stefanie ciągle rozmyśla — jej sprawa.

FELIKS: Za dużo o nim rozmyśla. Przekreśla siebie samą. Żyje a nie żyje..

HELENA: A wiesz, jak to określa Słowacki?

FELIKS: *(opryskliwie)* Nie ciekawy.

HELENA: A, to ciekawe. Urągałeś na wszystkich poetów, ale dla Słowackiego czyniłeś łaskawie wyjątek... Aż [illegible]

FELIKS: No — cóż tam ten twój Słowacki prawi?

HELENA: Nie tylko mój. Słowacki jest naszą własnością. Wszystkich. A właściwie to on pozyskał na własność [illegible]

FELIKS: Gadajże raz.

HELENA: To zdaje się ze „Szanfarego":

„Są w świecie serca, które w młode lata
Straciwszy szczęście w samym życia kwiecie,
Nie mogąc w niebo ulecieć ze świata,
Żyją, a przecież nie żyją na świecie:
Lecz nim śmierć więzy cielesne [illegible]
Pomiędzy ziemią a niebem się ważą,
Tworzą świat nowy, świat serca [illegible]
W tym świecie żyją, kochają i marzą".

FELIKS: Niby tak jest z Manią?

HELENA: Odnoszę takie wrażenie.

FELIKS: Niechże sobie tworzy ten cudny świat w marzeniu. Ale ona zacina się w rozpaczy, mizernieje, więdnie, wszystko robi jak automat, myśli tylko o umarłym. O — i teraz. Wieczór ciemno, a ona tam ślęczy nad grobowcem.. *(słychać dzwonek).* Ona: Otworzę *(wybiega, wraca zaraz z Manią).*

MARIA: *(rówieśnica Heleny, w skromnym garniturze, na lewym rękawie żałobna opaska, do Heleny)* Długo zabawiłam. Nie gniewaj się

HELENA: Ale co tam. Dobrze, że przyszłaś, bo już późno. Herbaty się napijesz?

MARIA: Dziękuję ci *(zdjęła kapelusz i płaszcz, zabiera się do jakiejś robótki na drutach).*

FELIKS: Nie chcesz pić... Na polu ziąb...

MARIA: Nie jest mi zimno.

FELIKS: A tego — sama byłaś teraz na cmentarzu?

MARIA: Janek pomógł mi sprzątnąć koło grobu. Przyjdzie tu, tylko do domu wstąpił.

FELIKS: Acha. Dobrze, że przyjdzie. To porządny człowiek, prawda Maniu?

MARIA: *(obojętnie)* Tak.

HELENA: *(skwapliwie)* Może tam i wady swoje ma.., któż ich nie ma... Ale chłopak rzetelny, pracowity.

FELIKS: *(dorzuca)* Świata poza tobą nie widzi...

MARIA: *(sucho)* Niewiele widział..

FELIKS: *(zły)* Zbywasz sobie kpin[illegible]

MARIA: *(spokojnie)* Nie jestem usposobiona do kpin.

FELIKS: Ale kpisz mimo to, Maniu. Mówiłem już do Helki, że owszem, Szanuję, mało — czczę cierpienia ludzkie. Słowo daję. Ale także daję słowo, że tak dalej być nie może. Jakto? Chcesz dochować zmarłemu wiary do końca życia?

HELENA: Młoda jesteś. Nie zawiązuj sobie własnowolnie życia...

MARIA: Ja ciągle myślę o jednym i tym samym... Że to przecież niemożliwe, aby on umarł nadarmo... Coś po nim pozostanie. Choćby pamięć u [illegible]

FELIKS: Oddać zmarłemu, co się należy — zgoda. Ale czy tam co po nim pozostanie? Czy jego śmierć była potrzebna? O — już patrzysz na mnie. Wiem. Wiem, co powiesz.

MARIA: Nie powiem ani słowa.

FELIKS: *(rozjadły)* Ale pomyślisz. Wszystko jedno. A co myślisz? Proszę. Mój brat do niczego się nie mieszał, przetrwał całą okupację jak skończony tchórz i teraz zażywa przyjemności życia, przy boku ukochanej i kochającej małżonki.

HELENA: Tak myślisz, Maniu. Nie wypieraj się. I jak nas to rani...

FELIKS: A — myślisz dalej — mój narzeczony, jako partyzant zginął. Spełnił swój obowiązek i nie ma go. Jakże. A ci, którzy obowiązku nie spełnili, są? Żyją? Używają życia? No. — I czy ty masz prawo tak myśleć?

MARIA: *(ostro)* Któż mi zabroni?

FELIKS. Choćby ja. Ja, tchórz, wstydliwie dający nurka przed ladajakim niebezpieczeństwem... Mówię ci: życiem szafować nie wolno. Trzeba było je zachować na okres powojenny Cała młodzież miała wyginąć po obu[illegible] zach? Przecie ktoś musiał zostać. E co będę ci tłumaczył. Tyś także b[illegible] postrzelona.. Narażałaś siebie i nas.

HELENA: Tego już nie powiadaj, Felku. Wstydziłbyś się.

FELIKS: Mam się wstydzić prawdy? Trzęsłem się, ile razy chodziłaś w sprawach organizacji. A potem, jak cię capnęli!... Sądny to był dzień...

HELENA: Wtedy to tylko o ciebie, Maniu, truchleliśmy...

FELIKS: A jakeśmy się przez znajomego dozorcę dowiedzieli, co z tobą wyprawiali... Jak cię gnali bosą po

śniegu i mrozie, a ile razy upadłaś, to cię grzmocili w podeszwy kijami, [illegible]

HELENA: Albo jak... Boże Miłosierny... jak cię wrzucili do ciemnicy i zakuli, a potem szczury pokąsały cię okropnie...

MARIA: Innym dziewczętom wiodło się podobnie. Nie byłam wyjątkiem i nie roztkliwiałam się nad sobą.

FELIKS: Ale kiedy ciebie katowano, głodem morzono, twój Stefanek zadował szyku w lesie. No — pewnie, że gdyby wiedział, co z tobą, cierpiałby... W tym wypadku na szczęście nie wiedział. Kula go dosięgła. Zginął na miejscu. Nie męczył się. Obowiązek swój spełnił. Czego chcieć więcej?

MARIA: Ja żyję — on nie. W tym mieści się wszystko. Po co... Po co on zginął? Czy jakiś ślad po nim pozostanie? Skoro wy, najbliżsi, mówicie o nim niechętnie, nieprzychylnie, a nawet wrogo.

FELIKS: Wrogo mówię o tyle, bo mi jakieś diabelne uroki na ciebie rzucił. Przecie to dwa lata mijają od czasu, jak on zginął. I ty zamiast pomyśleć, że życie wymaga od człowieka wiele, dopóki ten żyje, że może istnieć ktoś, którego mogłabyś uszczęśliwić i z nim być szczęśliwą, to ty ustawicznie rozdrapujesz rany swoje, aby się nie zabliźniały i zatruwasz siebie... Jak można?

MARIA: Jeśli was drażnię moim usposobieniem, odejdę stąd...

FELIKS: Powiedz od razu, że nami gardzisz i dlatego chcesz nas porzucić. Kochająca siostra...

HELENA: Staram się ciebie zrozumieć, Maniu i nie mogę. Zdajesz się żywić niechęć do nas, że jesteśmy zdrowi i cali, że przetrwaliśmy wojnę, że mamy swoje niewielkie radości i przyjemności. Czyż to twoim kosztem? Twoją krzywdą? I czy ty nie jesteś równie uprawniona do tego, aby w życiu zaznać jeszcze pogody i spokoju jeśli nie radości?

FELIKS: Przykro mi niezmiernie, że do takiej rozmowy doszło i to jeszcze w takim dniu, jak dzisiaj. Fermentowało to we mnie od dawna, aż musiało wybuchnąć. Maniu. Powiedz, żeśmy cię nie urazili. I bądź taka do ludzi.

MARIA: Muszę się przekonać, na co to wszystko się przydało. Już mi nie tylko idzie o Stefanka. Tysiące jemu podobnych zdążają ku mnie i czekają na odpowiedź: po co to? Na co to? Co komu przyszło z tylu straconych egzystencyj? Czy przepadły na to, aby zaginąć kolejno w niepamięci? A czy nie lepiej było, zdała od wszelkich niebezpieczeństw wegetować a później chwycić życie w ręce?

HELENA: Któż ci na to odpowie Maniu? *(dzwonek)* Zobaczę, kto przyszedł. *(Wychodzi. Feliks zbliża się ku Marii).*

FELIKS: *(miękko)* Daruj.

MARIA: *(kładzie rękę na jego ramieniu, skłania głowę na znak zgody). (Helena wprowadza Jana)*

JAN: *(niespełna trzydziestlin, odzienie zniszczone, przygnębiony)* Dobry wieczór. Można tu u was trochę posiedzieć?

HELENA. Oczywiście. Dobrze pan zrobił, przychodząc.

FELIKS: Siadajże, Janku. Może herbaty?

JAN: Jeśli mogę prosić?

MARIA: Przyniosę ją *(wychodzi do kuchni).*

JAN: Tak, tak. Pani jak zawsze nad papierosami...

HELENA: A cóż — jak mój władca ćmi coraz więcej. Trudno nastarczyć.

FELIKS: *(nagle)* Bracie. Co ukrywać... Twoje sprawy źle stoją.

JAN: Dlaczego? Mówiła co?

FELIKS: Wieczne jedno i to sa-[illegible]

JAN: *(zaciska pięści)* Och. Jak trudno żywemu walczyć ze zmarłym...

FELIKS: Tak to już bywa.

JAN: A bywa. Swoją drogą... Mam wam coś do powiedzenia.

HELENA: Niech pan mówi. Ciekawam bardzo.

JAN: Zaczekamy, aż panna Maria z kuchni przyjdzie.

FELIKS: A o czemże to? Czy może [illegible]

JAN: Właśnie o nim.

FELIKS: Słuchajże. Jeżeli coś złego, jeżeli coś, co rzucałoby cień na jego osobę... daj pokój. Nie odbieraj złudzeń...

JAN: Sprawa przedstawia się zupełnie inaczej.

HELENA: No a co? Niechże pan [illegible]

FELIKS: A ciekawska, jak każda baba. Nie możesz to poczekać, aż Maria wróci?

JAN: Sam nie wiem, czy mi to co pomoże czy nie. Powiedzieć muszę. Inaczej byłbym zwykłym kpem i ło-[illegible]

HELENA: Jak ten człowiek mnie dręczy. Umrę z ciekawości.

JAN: Proszę mi darować, [illegible] umieraniem z ciekawości [illegible] dniu, w którym święcimy pamięć zmarłych...

HELENA: Jaki pan nieznośny formalista. Przepraszam. Nie będę się tak przesadnie wyrażała... *(wchodzi Maria, niosąc szklankę herbaty. Stawia ją przed Janem)*

JAN. *(biorąc się do picia)* Uprzejmie dziękuje.

HELENA: Pan Janek ma nam coś powiedzieć... Wspólnie.

MARIA: *(apatycznie)* Słucham.

JAN: Otóż dzisiaj...

MARIA: *(przysuwa cukierniczkę)* [illegible]

JAN. Dziękuję *(bierze cukier).*

HELENA: Czy pan nareszcie...

FELIKS: Helu. Wstydziłabyś się...

HELENA: Tybyś się wstydził. Pęka z ciekawości i udaje, że nic go to nie dotyczy.

JAN. Dzisiaj rozmawiał ze mną mój siostrzeniec, chodzi do czwartej powszechnej...

HELENA: *(zawiedziona)* Co taki czwartoklasista mógł rzec... Dobre [illegible]

FELIKS: Dasz Jankowi przyjść do słowa?

HELENA: Oczywiście, że dam. Dlaczegóżbym nie miała? Czy ja kiedykolwiek? Może powiesz, że ja przegaduję innych? Tylko spróbuj. Zawsze na mnie. Jeszcze się nie odezwę, a już wszyscy na mnie. I to tak zawsze. Potym dopiero... *(spostrzegłszy wzrok Marii, miesza się, następnie ciebiutko)* Przepraszam *(zamilkła).*

JAN: Mój siostrzeniec opowiada o szkole to i owo. Nakoniec mówi, co ma zadane na jutro. M. in. opowiadanie o partyzantach. Otóż to jest krótka opowieść o kilku młodych ludziach w lesie. Nazwiska młodych prawdziwe. Dowódca ich nazywa się Stefan Chmara.

HELENA: Nie może być. Niemożliwe. A co? Odrazu się domyśliłam.

JAN: Opowiadanie jest niedługie, wzamian przepojone jest podziwem dla nieugiętości młodych, a zwłaszcza dla ich dowódcy, który igrając ze śmiercią, chroniąc z bezprzykładną odwagą kolegów, był wzorem wszelkich cnót wojennych.

FELIKS: *(rozjaśniony)* Maniu, sły-[illegible]

MARIA: *(poruszona)* Czy naprawdę? Panie Janku...

JAN: Mam ze sobą wypisy. Proszę *(podaje broszurę Marii).*

MARIA: *(chwyta gorączkowo broszurę, czyta).*

HELENA: Pokaż Maniu... *(chce się przysiąść koło Marii).*

FELIKS: Niechże przeczyta wpierw sama. I my zapoznamy się z tym opowiadaniem. A któż je napisał?

HELENA: Napewno pan, panie Janku. Zgadłam. A co...

JAN: *(z przymusem)* Nie mam najmniejszego zacięcia pisarskiego. Zresztą to obojętne, kto jest autorem. Ważny jest temat i ważne są po-[illegible]

(milkną, obserwując czytającą Marię, ta po chwili odkłada broszurę, ale czyni potym ruch, jakby pragnęła ją przycisnąć do serca.)

FELIKS: *(do Marii)* Wierzysz teraz, że zgon Stefana jest owocny?

MARIA: *(skłania potakująco głową, spozierając przed siebie szeroko rozwartymi oczyma).*

FELIKS: A przecie... gdyby nie było tego opowiadania... co właściwie uległoby zmianie...?

HELENA: Pamięć o nim nie zaginie. To najważniejsze. Prawda Maniu?

MARIA: Będzie żył w umysłach dzieci jako godny, prawdziwy człowiek. Będzie żył. I żyje... *(wybucha płaczem)*

HELENA, FELIKS i JAN: *(nachylają się bezradnie nad płaczącą).*

MARIA: *(po chwili)* Panie Janku. Bardzo jestem wdzięczna...

JAN: *(wzruszony)* Ach, to nic... nie ma o czym... *(całuje ją w rękę)*

HELENA: *(trąca znacząco Feliksa).*

FELIKS: *(daje znak ręką i uśmiecha się).*

KONIEC

EMIL KOWALSKI

W szóstym dniu listopada

Obrazek sceniczny w jednej odsłonie.

OSOBY:

Ojciec
Matka
Syn

Rzecz dzieje się 6. XI. 1923 roku w Krakowie.

(Pokój starannie, dostatnio umeblowany. Drzwi wejściowe z lewej, ponadto z prawej, wiodące do dalszych pokoi. W głębi okno.)

(Na pierwszym planie, przy stole siedzą Ojciec i Matka. Piją herbatę.)

OJCIEC: *(po pięćdziesiątce, twarz czerstwa, żywa, nieprzejednana, w wykwintnym garniturze, odkłada próżną szklankę, bębni palcami prawej ręki po stole, spogląda wyzywająco na Matkę)* No i co?

MATKA: *(po czterdziestce, twarz znękana, wybladła, w wytwornej sukni, zaczesana gładko, pod wzrokiem Ojca chyli głowę, po chwili niepewnie)* Może to wszystko jakoś jeszcze się zmieni...

OJCIEC: *(szorstko)* Co się ma zmienić? Apetyty wzrastają w miarę jedzenia. Daj kurze grzędy, a ona zechce wszędy...

MATKA: Sądzę, że...

OJCIEC: *(przerywa)* ...że nie czas na przysłowia... To chciałaś powiedzieć...

MATKA: *(spokojnie)* Nie, ale... ostatecznie: oni głodują.

OJCIEC: Z własnej winy.

MATKA: A przecie głód jest złym doradcą.

OJCIEC: Nieprawda. Głód jest najlepszym kucharzem.

MATKA: Innymi słowy: głodny zadowoli się byle czym.

OJCIEC: A pewnie.

MATKA: Dlaczegóż człowiek ma się zaspakajać byle czym?

OJCIEC: Oho... zależy jaki człowiek. Pracowity, rzetelny... taki może kiedyś coś tam uzyskać, rzecz prosta nie za wiele!

MATKA: A my?

OJCIEC: Cóż to znaczy: my?

MATKA: Ludzie uprzywilejowani, zamożni, wpływowi...

OJCIEC: My, to zupełnie co innego. My przewodzimy. A za przewodnictwo należą się nam świadczenia, które ogółowi są niedostępne.

MATKA: A czy my dobrze przewodzimy?

OJCIEC: Zaręczam ci, że tak. Sumienie mam czyste. Inni, w moim pokroju, również.

MATKA: *(z odcieniem ironii)* Skoro tak...

OJCIEC: *(wstaje, przechodzi się nerwowo po pokoju)* Zresztą... Oni się nigdy na strajk nie zdobędą.

MATKA: Daj Boże...

OJCIEC: Są za słabi, niesolidarni... To byłoby okropne...

MATKA: A jeśli zdobędą się na...

OJCIEC: Dokończ. Może pójdą z gołymi pięściami naprzeciw kulom i bagnetom.

MATKA: Może. I czy wiedy nie zadrżysz, jako Polak?

OJCIEC: Walka bratobójcza? Tego u nas nigdy nie było...

MATKA: A jeśli dla tych nieszczęśliwych władza jest czymś obcym, nienawistnym? Mimo wspólnego pochodzenia i języka?

OJCIEC: Wszelka władza od Boga pochodzi.

MATKA: „Bóg daje czasem władzę w ręce złego ducha" — powiedział Mickiewicz.

OJCIEC: A ty oczywiście powtarzasz to za nim. Ten twój cały Mickiewicz to był socjalista. Ot co. Ładne ideały przekazuje młodzieży! Władzy nie szanować. A to prosta droga do anarchii! Teraz nie dziwię się dlaczego Władyś... Tak. Rozumiem. Władyś, jedynaczek, mamin synek, powtarza znowu za tobą, co ty za Mickiewiczem... Doczekałem się na stare lata pociechy... Żeby we własnym domu...

MATKA: Janku... uspokój się... Bezstronnie rzeczy ujmując...

OJCIEC: *(rozdygotany)* Zwartym frontem przeciw mnie.. *(nagle słychać stłumiony gwar, narastający stopniowo za oknem)* Cóż tam znowu...?

MATKA: *(podbiega ku oknu)* Ach, znowu tłumy przebiegają przez jezdnię... Żeby nie doszło do jakiego nieszczęścia... A Władysia nie ma...

OJCIEC: Dokąd smarkacz poszedł?

MATKA: Pewnie do kolegi...

OJCIEC: A może wmiesza się w pochód tego tam *(z ironią)* ludu pracującego? Jeszcze tego brakowało! Niech tylko wróci, a usłyszy za to wałęsanie się, kiedy wokoło niewy-...

MATKA: *(patrząc przez okno)*. Teraz wszyscy przeciągają na ulicę Dunajewskiego...

OJCIEC: *(lekceważąco)* Odbędą tam wrzaskliwy wiec i rozejdą się.

MATKA: *(powątpiewająco)*. Oby... *(wejściem z lewej wpada Syn)*.

SYN: *(lat 13, 14, w mundurku gimnazjalnym)* Tatusiu, mamusiu, widzieliście?

MATKA: *(na jego widok)*. Jak mogłeś tak długo...

OJCIEC: *(równocześnie ze słowami Matki)*. Widzimy, że nie ma ciebie w domu od dawna. Co to ma znaczyć?

SYN: *(rozgorączkowany)*. Całuteńka Dunajewskiego zaczerniona tłumem. Powiadają, że nie dadzą się. Że jak policja na nich uderzy, to i oni na nich.

OJCIEC: Oni? To znaczy: socjaliści...

SYN: A tak. To było do przewidzenia. Dzieje się im krzywda! Co się mają poddawać jak stado baranów? Co ich mają za nosy wodzić?

OJCIEC: I ty o tej hołocie...

SYN: Przepraszam tatusiu, ale... *(z za okna słychać daleką detonację)* Oho... Zaczyna się... Zaraz wrócę... *(wypada gwałtownie wyjściem z lewej)*

MATKA: *(rzuca się za nim)* Władysiu... Ani się waż...

OJCIEC: *(chwyta ją za ramię)* Zostań. Nie będziesz czyniła z siebie widowiska.

MATKA: Ależ tam... na ulicy...

OJCIEC: Nic mu nie zajdzie. Synaczek powróci i otrzyma odpowiednie paternoster.

MATKA: *(spoglądając przez okno)* Od Rynku, Sławkowską, zdążają konne oddziały

OJCIEC: A to dobrze. Najwyżej w konają szarżę, przepłaszają kilku i tym się skończy...

MATKA: Szarża? W bezbronny tłum?

OJCIEC: Jakiś porządek musi istnieć! *(z za okna gwar coraz większy)*. A cóż to za hałasy? *(podchodzi ku oknu)* Aha. Zmierzają w stronę Dunajewskiego. Oczywiście pod redakcję „Naprzodu". Słusznie. Oczyszczą teren i od krzyku.

MATKA: *(przechylona przez okno)* Zdaje się, że policjant woła coś do nas...

OJCIEC: *(nachylony)* Co takiego? Że co? Od okna? A mnie wolno stać, gdzie zechcę. Co? Jak? *(cofa się od okna z pasją, pociąga za sobą Matkę)*. Słyszane rzeczy... Pogroził mi karabinem. Zmierzył się do mnie... Ja mu pokażę. Cóż ten pachołek sobie myśli, że ma z jakim socjałem do czynienia? Ja mu dam!

MATKA: Władyś taki nieostrożny... Jeszcze mu się co przydarzy... *(nagle)* Co to?

(Za oknem krzyki i wrzaski, odgłos salwy, potem tętent kopyt końskich).

OJCIEC: Co? Co? Nie...

MATKA: To okropne... Okropne...

OJCIEC: *(odciąga przemocą Matkę od okna)* Nie patrz na to...

MATKA: *(bezładnie)*. Te rozbiegane konie... straszne... A Władyś...: Może go potratowały... Matko Boska Przenajświętsza...

OJCIEC: *(sadza Matkę na kanapie, podaje jej szklankę wody)* Wypij

MATKA: *(machinalnie przytknęła usta do szklanki. W tej chwili wpada Syn)*.

SYN: *(z uniesieniem)*. To było wspaniale... Stawili opór... Przegnali konnicę...

MATKA: Ty! Miałam już najgorsze przeczucia...

SYN: Ależ nic mi nie jest. Troszeczkę mnie drasnęło...

MATKA: *(przerażona)* Co? Władziu...

OJCIEC *(równocześnie z Matką)* Jesteś ranny... Władziu...

SYN: *(pokazuje, nie mogąc ukryć dumy, na zranioną dłoń)*. To pewnie rykoszet. Bo kości nie przebiło.

OJCIEC: *(wyciąga błyskawicznie z szafki bandaże)* Dawaj rękę. *(Bandażuje Synowi sprawnie zranioną dłoń)*.

SYN: *(Zmarkotniały)* Biedne konie... Tak się rozbiegały... A dwa padły. Co one temu winne, że ludzie...

OJCIEC: To nie ludzie. Zwierzęta!

SYN: Tatusiu! Tak nie mów! Taka sama krew płynie u wszystkich...

(Chwila przygnębionego milczenia)

MATKA: Boli cię?

SYN: Ależ nic a nic. Drobiazg. *(Syknął)*.

MATKA: Ależ jęknąłeś w tej chwili...

OJCIEC: *(pokrywając zadowolenie)* Myślałby kto, że umiesz znosić cierpienia, jak rycerz...

SYN: Ooo . chciałbym... jak każdy prawdziwy mężczyzna...

MATKA: Tylko sobie nie wyobrażaj, że jesteś dorosły...

SYN: No .. zawsze już nie jestem dzieckiem... *(Podchodzi ku oknu)* Ulice, jak wymiótł. Policjanci rozsypali się po plantach, a robotnicy pognali za [illegible]

(Ponowna salwa. Rodzice i Syn zastygli w bezruchu).

SYN: *(nagle).* Strzelają do nich z za drzew. Ja tam pójdę. *(Chce wybiec z mieszkania Matka zastępuje mu drogę).*

MATKA: *(bardzo spokojnie).* Słuchaj, Władziu. Jeżeli zbiegniesz na ulicę, znajdziesz mnie tam. Bo ja wyskoczę. A jesteśmy na drugim piętrze. Więc wybieraj.

OJCIEC: Matka nie żartuje....

SYN: *(opada zrozpaczony na krzesło)* To przymus...

OJCIEC: Nie, chłopcze Nie pozwolę by mój syn...

SYN: *(podchodzi chwiejnym krokiem ku oknu, patrzy przez chwilę, potem)* O tam.. środkiem ulicy..

OJCIEC: Cóż takiego? *(patrzą razem z Matką)*

SYN: Ten stary mężczyzna...

MATKA: Jakiś robociarz...

SYN: Idzie — Teraz zachwiał się... przyklęku...

OJCIEC: Może ranny...

SYN: Ależ napewno ranny... O.. nie może powstać... Pozwólcie mi, pobiegnę po niego.. Przyprowadzę go...

OJCIEC: *(spozierając pilnie)* Zdaje się, że wszelka pomoc nadaremna.

SYN: Dźwiga się. Jaką ten starzec ma twarz. Jak mu oczy płoną gnie-[illegible]

MATKA: *(starając się odciągnąć Syna od okna)* Nie patrz, Władziu...

SYN: *(z bólem)* Och... nie pozwalacie mi pójść po niego, niechże go przynajmniej zobaczę.. Niechże go zapamiętam ..

(Znowu chwila milczenia. Rodzice, oparci o Syna śledzą to, co rozgrywa się na ulicy).

MATKA: *(cichym głosem)* Przystaje.

SYN: Mamo. Ależ on.. Smuga krwi snuje się za nim. Każdy swój krok znaczy krwią... Znowu się słania... Ach... już leży... nie może powstać...: Ręce zaciska .. Chce podnieść głowę...

OJCIEC: *(poruszony, ale nie chcąc się do tego przyznać)* Najwidoczniej umiera...

(słychać kilka oderwanych strzałów, poczym cisza)

SYN: *(powoli)* Teraz znieruchomiał... Biedny, stary robociarz... Miał pewnie rodzinę... Żonę . dzieci..: nadaremno będą czekały na jego powrót... Pozostawi je w nędzy i rozpaczy...

OJCIEC: *(starając się pokryć wzruszenie)* Skąd wiesz, że miał rodzinę? Może był samotny?

SYN: Niechby nawet... Całe życie sterał na walce o byt... a obecnie z bratobójczej dłoni zginął... Czy tak być powinno?

OJCIEC: Mój kochany. Na pytanie: co powinno być a co dzieje się w istocie, trudno odpowiedzieć..

SYN: Przecie wszystko ma jakiś swój cel. Więc jaki jest cel śmierci tego starego człowieka? Odpowiedz, tatusiu...

MATKA: *(półgłosem).* Zginął dla idei, zatem celowo..

OJCIEC: *(przygnębiony pragnie coś rzec, powstrzymuje się).*

SYN: *(jakby olśniony)* Dla idei! Prawda. A mnie to na myśl nie przyszło... Krwią własną podpisał ideę szerzoną przez jego towarzyszy... A kolor jej jest czerwony... *(wybucha płaczem. Rodzice zbliżają się doń. Matka kładzie rękę na głowie, Ojciec na ramieniu Syna).*

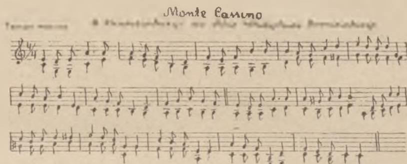
(Naraz z za okna, w oddali słychać zbiorowy śpiew. Rodzice i Syn zerwali się, przylgnęli do okna. Śpiew potężnieje. Po pewnym czasie można rozróżnić następujące słowa:)

„A kolor jego jest czerwony,
Bo na nim robotnicza krew...
Bo na nim robotnicza krew..."

Emil Kowalski

Monte Cassino

pieśń A. Charzewskiego, do słów W. Broniewskiego



I.

Nasze granice naszli znienacka
słupy graniczne zewsząd zrąbali..
Idzie Kresowa, idzie Karpacka,
w dymie eksplozji ,w huku batalii
Nasze granice?... — Trzeba ich szukać
w rytmie kaemów, w chrzęście pancerzy
My to już wiemy, stara nauka
polskich tułaczy, polskich żołnierzy

II.

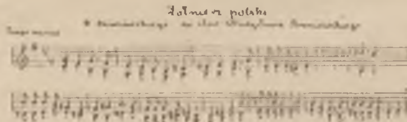
Idzie Karpacka, idzie Kresowa,
walą armaty, trzeszczą spandauy.
Tu nam nie ujdzie, tu się nie schowa
wróg, uzbrojony w broń doskonałą.
Idzie Kresowa, idzie Karpacka
każdą bojową chrzęszcząc maszyną.
My was znajdziemy, choć poomacku,
w Monte Cassino! W Monte Cassino!

III.

Padnie nas wielu w pięknej Italii,
żywi umarłych grzebmy i liczmy,
potem pójdziemy dalej i dalej
stawiać, przestawiać słupy graniczne.
Nasze granice? — „Póki żyjemy",
wszędzie, gdzie nasi walczą i giną.
Gniewnie idziemy, krwawo idziemy,
nasze granice w Monte Cassino.

Żołnierz Polski

pieśń A. Charzewskiego do słów W. Broniewskiego



I.

Ze spuszczoną głową, powoli,
idzie żołnierz z niemieckiej niewoli.
Dudnią drogi, ciągną obce wojska,
a nad nimi złota jesień polska.
Usiadł żołnierz pod brzozą u drogi,
opatruje obolałe nogi.

II.

Jego pułk rozbili pod Rawą
a on bił się, a on bił się krwawo,
szedł z bagnetem na czołgi żelazne,
ale przeszły, zdeptały na miazgę
Pod Warszawą dał ostatni wystrzał,
potem szedł. Przez ruiny. Przez zgliszcza.

III.

Hej ty brzozo, hej ty brzozo-płaczko,
smutno szumisz nad jego tułaczką.
opłakujesz i armię rozbitą
i złe losy, i Rzeczpospolitą...
Siedzi żołnierz ze spuszczoną głową,
zasłuchany w tę skargę brzozową.

Święto sportu

W dniu 15 września 1946 odbyła się podniosła uroczystość w fabryce maszyn i odlewni żelaza Josephy w Bielsku: Święto sportu i zarazem otwarcie nowo założonego Robotniczego Klubu Sportowego „Josephy".

Protektorat nad uroczystościami objął Oddział Związku Zawodowego Metalowców w Bielsku i Pow. Oddział Informacji i Propagandy w Bielsku.

Fundatorami nagród byli:

1 miejsce w ogólnej punktacji — puchar kryształowy Dyrekcji F-my Josephy.

2 miejsce w ogólnej punktacji — figura drzewna pracownika F-my Josephy.

1 miejsce w koszykówkę — obraz Zjedn. Przem. Budowy Maszyn Włók. i Łodzi.

1 miejsce w siatkówkę — puchar brązowy Rady Zakład. F-my Josephy.

1 miejsce w sztafecie 4x100 — figura metalowa Zw. Zaw. Met. w Bielsku.

W uroczystości tej, oprócz gospodarzy wzięły udział kluby: RKS „Naprzód" Andrychów, KS przy PW i WF Kozy, RKS „Kopalnia" Brzeszcze, KS „Odlewnia Rur" Węgierska Górka, RKS „Walcownia" Dziedzice, RKS „Lenko" Bielsko.

Uroczystości rozpoczęły się uroczystym nabożeństwem w kościele parafialnym w Bielsku o godz. 8-ej, podczas którego koncertował zespół świetlicowy w składzie: wzmocniony tercet żeński wraz z solistką, trio smyczkowe.

Wykonano utwory:

Moklakiewicza „Dzwonek" — tercet.

Haendla Largo z Op. „Xerxes" — trio.

Griega Op. 46 „Śmierć Azy" — trio.

Giordani „Caro mio ben" — trio.

Po mszy udali się uczestnicy z orkiestrą na boisko KS Leszczyński w Bielsku, gdzie nastąpiło otwarcie zawodów przez prezesa klubu RKS Josephy dyr. nacz. inż. Muszyńskiego, po czym przystąpiono do rozgrywek siatkówki, koszykówki i zawodów lekkoatletycznych.

Z prawdziwą przyjemnością patrzyliśmy na fizyczną sprawność zawodników przez którą dali dowód, iż sport polski po dotkliwych stratach, poniesionych w czasie niewoli, znów się odradza i wykazuje coraz to piękniejsze wyniki.

Po zaciętych, interesujących, lecz fair prowadzonych spotkaniach wyniki w poszczególnych konkurencjach były następujące:

Siatkówka: 1) RKS „Lenko" Bielsko, 2) RKS „Josephy" Bielsko, 3) KS PW i WF Kozy.

Koszykówka: 1) RKS „Josephy" Bielsko. 2) RKS „Naprzód" Andrychów, 3) KS WF i PW Kozy.

Bieg sztafetowy 4x100 m: 1) RKS „Josephy" Bielsko, 2) RKS „Naprzód" Andrychów.

Bieg na 100 m. 1) RKS „Lenko" Bielsko, 2) RKS „Josephy" Bielsko. 3) KS WF i PW Kozy.

W konkurencji w **skoku wzwyż:** 1) RKS „Josephy" Bielsko, 2) RKS „Josephy" Bielsko, 3) KS WF i PW Kozy.

WYDAWNICTWA NADESŁANE

Alojzy Targ — Śląsk w okresie okupacji — Wydawnictwo Zachodnie, Poznań 1946, stron 87.

Dr Maria Czekańska — Z biegiem Odry — Wydawnictwo Zachodnie, 1946, stron 132.

„Oczyma 12-letniej dziewczyny". Wydawca: Centralna Żyd. Komisja Historyczna w Polsce — Oddział Wojewódzki w Krakowie Nr 9 (20), 1946, str. 72.

„Praca Oświatowa". Miesięcznik poświęcony zagadnieniom praktycznym. Praca Społeczno-Oświatowa. Warszawa Rok II, Nr 6—7 Sierpień — Wrzesień 1946. Wydawany z zasiłku Ministerstwa Oświaty. Redaktor: Piotr Banaczkowski.

„Życie Nauki". Miesięcznik naukoznawczy. Tom I, Nr 6 czerwiec 1946. Redaguje: Mieczysław Choynowski. Wydaje z zasiłku Wydziału Nauki Ministerstwa Oświaty Konserwatorium Naukoznawcze przy Towarzystwie Asystentów U. J.

„Czasopismo Ogrodnicze" — Organ Związku Rewizyjnego Spółdzielni R. P. i Centrali Gospodarczej Spółdzielni Ogrodniczych R. P. Rok I — Nr 4. Wrzesień 1946. Redaguje Komitet.

„Wiadomości Statystyczne" Głównego Urzędu Statystycznego. Rok XIX. Zeszyt 9. Warszawa 5 Lipca 1946.

„Rzeczy Ciekawe", Miesięcznik popularno-naukowy. Rok I. Nr 9 wrzesień 1946. Warszawa. Redaktor: Maria Suszyńska. Wydawca: Centralna Poradnia Samokształcenia przy LIOiK.

„Głos Nauczycielski". Centralny Organ Związku Nauczycielstwa Polskiego. Rok XXV. Nr 15. Warszawa dnia 1 października 1946 roku. Wydawca w imieniu ZNP Tomasz Szczechura. Za Komitet Redakcyjny Stanisław Brzozowski.

„Świetlica". Miesięcznik Społeczno-Artystyczno-Oświatowy. Nr 9 Wrzesień 1946. Łódź. Redaktor naczelny: Marian Mikuta.

„Chłopska Gospodarka". Miesięcznik Rolniczy. Rok II. Nr 10 Warszawa Październik 1946. Redaguje Kolegium Redakcyjne. Wydawca: Zarząd Główny Związku Samopomocy Chłopskiej.

„Życie Szkoły". Miesięcznik poświęcony organizacji wychowania i nauczania. Rok I — Nr 7. Toruń. Wrzesień 1946. Redaktor: Stanisław Nowaczyk.

„Pracownik Spółdzielczy". Miesięcznik Organ Związku Zawodowego Pracowników Spółdzielczych R. P. Rok XVIII. Warszawa, 29 września 1946. Redaguje Komitet.

JESIENNE WYDAWNICTWA TEATRALNE

Ludowy Instytut Oświaty i Kultury (Warszawa, ul. Reja 9) rozpoczął akcję wydawniczą w zakresie repertuaru teatralnego. Akcja ta obok innych, leży również w programie Ludowego Instytutu Oświaty i Kultury jako kontynuatora prac przedwojennego Instytutu Teatrów Ludowych, którego założycielem i prezesem był Jędrzej Cierniak.

W związku z okresem jesiennym wydał Instytut — jako pierwszą pozycję w serii wydawnictw teatralnych: „Dziady" Adama Mickiewicza (fragment części I i części II) opracowane inscenizacyjnie w formie ludowego misterium zaduszonego przez Stanisława Iłowskiego.

Zamiarem inscenizatora było udostępnienie tego arcydzieła naszej literatury różnego typu zespołom teatrów ochotniczych. Uwagi inscenizacyjne i reżyserskie, możliwie uproszczona kompozycja sceniczna utworu, szkice dekoracji, uwagi dotyczące technicznych zagadnień, związanych z opracowaniem scenicznym utworu, oraz zestawienie odpowiedniej biografii, to wszystko wkład pracy doświadczonego inscenizatora, którym niewątpliwie ułatwi wystawienie dzieła nie tylko dorosłym, ale i młodzieży zarówno w mieście jak i na wsi, w szkole czy organizacji oświatowej. Zauważyć warto, że inscenizator opisuje ponadto jedno z najosobliwszych doświadczeń artystycznych, jakim było odprawienie „Dziadów" na starym cmentarzu jednej z krosowych miejscowości. Podsuwa to możliwość wykonania „Dziadów" w odpowiednich warunkach nie tylko na scenie ale i jako widowiska na wolnym powietrzu.

Jesień nadaje się szczególnie do uwzględnienia „Dziadów" w planach repertuarowych zespołów teatralnych i świetlicowych.

DLA ŚWIETLIC

Nakładem Związku Nauczycielstwa Polskiego w Katowicach została ostatnio wydana książka Marii Kowalczykowej pt. „Co robimy w świetlicy", str. 176. Ma ona charakter instrukcyjny i stanowi dużą pomoc dla pracowników świetlicowych. Obszerne omówienie metody pracy świetlicowej ilustrowane jest szeregiem materiałów praktycznych różnych form, jak: inscenizacje pieśni, fragmentów literackich, recytacje zespołowe, gry i zabawy, wzory zapisków itp. Książka opracowana żywo, ciekawie i ze znajomością rzeczy powinna się znaleźć w każdej świetlicy.

Cena 150 zł. Do nabycia: Katowice, Księgarnia Związku Nauczycielstwa Polskiego, ul. św. Jana 10.

BRIDŻ SCHACHTA, PAPENA I FRITSCHKE A





— Ponieważ jest nas tylko trzech, więc musimy grać z dziadkiem..

KĄCIK SPORTOWY

Lekkoatletyka

Trening 200 m

Dotychczasowe doświadczenia wskazują iż wszyscy biegacze na 100 m są również dobrymi w biegu na 200 m. Wprawdzie bieg ten jest dwukrotnie dłuższy, i dają się zauważyć objawy pewnego zmęczenia w końcówce, jednak dobry trening do 100 m zupełnie jest wystarczający do wytrzymania tempa i w biegu na 200 m.

Pomiędzy biegami tymi jest jednak jedna zasadnicza różnica, na którą musi biegacz zwrócić uwagę, i w związku z tym odpowiednio prowadzić trening. Wiadomym jest iż bieg na 200 m nie odbywa się na prostej, jak stumetrówka, lecz pierwszą jego część biegacz musi przebyć na wirażu, to jest na krzywiźnie obwodu bieżni 400-metrowej. Bieg po wirażu stwarza pewną trudność przy każdym biegu, a cóż dopiero przy sprincie, gdy biegacz wyzyskuje swą maksymalną szybkość. Odpowiednie ćwiczenie w pokonywaniu działania siły odśrodkowej, polegające na lekkim pochyleniu się biegacza ku środkowi, wysuwanie prawej strony ciała nieco wprzód, skierowanie zewnętrznej stopy ku środkowi oraz pracy prawego ramienia w kierunku wewnętrznej bandy, są konieczne.

Ważny jest również start. Na wielu zawodach daje się zauważyć iż nawet zaawansowani zawodnicy popełniają przy kopaniu dołków do biegu 200 m wielki błąd. Mianowicie kopią dołki tak jak do biegu 100 m, a więc w środku toru przed linią startową. Oczywiście z miejsca ulegają działaniu siły odśrodkowej i tracą cenny czas. Dołki należy kopać przy samej zewnętrznej linii toru, przez co nastawiony jest front biegacza na pierwsze pokonywanie wirażu z jak najmniejszym oporem.

Trening wirażu musi się odbywać z jak największą szybkością. W samym biegu z miejsca należy rozwinąć największą szybkość, gdyż ze względu na wyrównania trudno jest ocenić różnicę jaka dzieli od współzawodnika. Dopiero po dojściu do prostej można tempo odpowiednio regulować.

Bieg 400 m

Bieg 400 m należy ze względu na wymagania dużej szybkości oraz wytrzymałości specjalnego treningu. Jest to właściwie przedłużony sprint. Jeśli u nas wyniki w biegu na 100 m — 11,5 sek. czy na 200 m 23 sek. zaliczamy do dobrych, to przebieganie dystansu 400 m przez najlepszych biegaczy właśnie o tempie po 11,5 średnia na każde 100 m jest najlepszym wyrazem olbrzymiej szybkości. Jak z drugiej strony przebiegnięcie ostatnich 200 metrów wymaga wytrzymałości mogą powiedzieć ci, którzy choćiaż raz w życiu przebiegli w szybkim tempie 400-metrówkę.

Biegacze czterystometrowi, to albo sprinterzy albo średniodystansowcy. Pierwsi mając dużą szybkość największą uwagę przywiązują do wyrobienia wytrzymałości, drudzy mając wytrzymałość — trenują szybkość

Sprinter musi stopniowo przyzwyczajać się do przebiegnięcia całego dystansu. Najpierw musi ćwiczyć 200, potem 300, i następnie 400 m. A więc obok startów musi przebiegać w różnym tempie raz 600 m, raz 500 ze zrywami, nawet do 1200 (oczywiście swobodnie), kończąc swe biegi o-[illegible]



Kącik Szachowy

TURNIEJ O MISTRZOSTWO KRAKOWA na rok 1946

Białe: Woźniak — Czarne: Ciejka

1. d4, Sf6. 2. Sf3, e6. 3. Gg5.

Stare to posunięcie nie daje białym specjalnych korzyści pozycyjnych.

3... c5, 4. e3, Hb6. 5. Hc1.

Nie piękne coprawda, ale jednak najlepsze. Gambitowe 5. Gd3, H×b2. 6. Sb—d2 z nieco lepszym rozwojem figur za piona — jest raczej zbyt ryzykowne.

5... Sc6. 6. c3, d5.

Wymiany na f6, dającej czarnym parę gońców i otwartą linię g nie muszą się czarne obawiać, ale tu w duchu pozycji lepiej było 6... d6 z dalszym planem Hc7 i e6—e5, aby nie zamykać gońca c8 i wprowadzić hetmana do gry, gdy po ruchu w tekście pozostaje on na uboczu.

7. Gd3. Gd7, 8. Sb—d2, Wc8. 9. 0—0, c×d4?

Pierwszy poważniejszy błąd pozycyjny, dający białym półotwartą linię e i uniemożliwiający raz na zawsze e6—e5. Należałoby grać 9... Ge7.

10. e×d4, Gd6. 11. We1, 0—0. 12. Sf1, Se7?

Druga i już decydująca pomyłka, którą białe pięknie wyzyskają. Czarne nie doceniły ataku białych, po spokojnym 12... Ge7. 13. Se5, Ge8 pozycja czarnych, choć nieco gorsza była, jednak jeszcze zupełnie możliwa do obrony.

13. G×f6!

Teraz ta w odpowiednim momencie przeprowadzona wymiana przynosi natychmiastowe rozstrzygnięcie.

13... Piękne posunięcie, przeoczone przez czarne. Grozi 16. Wh5 z nieuchronnym matem, jeśli 15... S×5? to 16. Hh7 mat na 15... f×e5 nastąpi 16. Sg5! również z matem na h7. Pozostaje tylko bicie gońcem.

15... G×e5. 16. d×e5, Hd8.

Jeżeli 16... Kh8 to 17. e×f6, Wg8. 18. Sg5!, trzeba zaś się bronić przed 17. e×f6 z matem na g7. Złe 16... S×e5? bo znów 17. Sg5, hetman czarny wraca więc, ale jest już za późno.

17. Sg3!

Subtelnie „ciche" posunięcie, grozi 18. Sh5!

17... Kh8. 18. Sh5, Wg8.

Innej obrony przed matem na g7 nie było, teraz jednak pada pion f6 i białe zdobywają pole g5 dla skoczka.

KRONIKA ŚWIETLICOWA

ŚWIETLICA PRZY KOPALNI „BRZESZCZE"

W powiecie Biała Krakowska niektóre świetlice rozwijają się bardzo dobrze. Świetlica Związku Zawodowego Górników przy kopalni „Brzeszcze" urządziła 4. 8. 46 r. Święto Sportu. Na program złożyły się: zawody piłki nożnej, koszykowej, siatkowej i zawody lekkoatletyczne. Zawodników ogółem było 120, Widzów około 1.500.

W świetlicy pracują organizacje: ZWM, Harcerstwo, TUR, Klub sportowy RKS Kopalnia.

Z biblioteki wypożycza książki 227 osób. W Brzeszczach jest także stałe kino. Kierownikiem kina jest ob. Majdak.

ŚWIETLICA FIRMY „LENKO" W BIELSKU

Praca w świetlicy firmy „Lenko" w Bielsku nabiera coraz większego rozmachu. O tym świadczy zakończenie kursu kroju i szycia urządzonego dla robotnic tej firmy. Do egzaminu dopuszczono 24 uczestniczek kursu. Egzamin odbył się w obecności komisji w skład której wchodzili kier. świetlicy ob. Kubica, członek Zarz. Św. ob. Ronik i ob. Kąkol i przedstawiciel Pow. Urz. Inf. i Prop. ob. Jania. W zakres kursu wchodziły tak prace praktyczne jak. wiadomości teoretyczne. Na wyróżnienie zasługują przez swą pilność i wiedzę zdobytą na kursie ob. Bachowska, ob. Lachowska, ob. Sadlik i ob. Waluś. Kurs prowadziła instruktorka ob. Legoniowa, która całą duszą poświęcała się pracy i chętnie udzielała wskazówek uczennicom. W następnym dniu odbyło się wręczenie zaświadczeń uczestniczkom kursu połączone z wystawą prac uczennic i skromną herbatką, w której wziął udział naczelny dyrektor firmy ob. inż. Bogacki.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Fudalej Aleksander — Nowa Sól. Żądane egzemplarze „Świetlicy Krakowskiej" wyślemy. Materiał związany z Bożym Narodzeniem znajdzie obywatel w numerze 14-ym z dnia 15-ego grudnia 1945 r.

Józef Swatoń — Warszawa. Dziękujemy za nadesłany materiał. Wykorzystujemy go w miarę możliwości.



— Czy pan pragnie utrzymania pokoju?

— Tak.. ale wolałbym utrzymać całe mieszkanie.

[illegible]